



Wies



TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 18 sierpnia 1946 r.

Nr 32 (60)

Leonard Sobierajski

„CUD NAD WISŁĄ”

SENS ROCZNIC

Przypominanie zdarzeń z historii naszego narodu, ich każdorazowe jakby wydobywanie „od nowa”, „uwizyjnienie”, będzie miało sens dla dzisiejszego człowieka tylko wtedy, jeżeli będzie równocześnie próbą **łamania się z problemem**, który w tych wydarzeniach tkwił i dla tego nadał im taki a nie inny wyraz. Jest rzeczywistość historyczna — fakty i są ich ujęcia — historia pisana. Otóż przegrupować fakty historyczne nie w sensie czasowego toku ich dziania się, ale w sensie ich nowego ustawienia, nadania im nowych proporcji, to właśnie otrzymać inne zupełnie perspektywy na proces kształtowania się losów naszego narodu.

„Rok 1920” to grupa faktów, które miały swoje mocne, określone wyznaczniki z przeszłości.

Sprawa walki o Polskę Ludową, to jeden z głównych czynników tego odzinka naszej rzeczywistości historycznej, która zwykliśmy nazywać „rokiem 1920”. Problem wejścia ludu w naród został wówczas mocno postawiony po raz pierwszy w naszych dziejach. Lubelski Rząd, rząd robotniczo-włościański, to nasza ówczesna szansa, która za przepaszczenia, dała właśnie między innymi „rok 20”. Żeby m.c. przystąpić do próby analizy wysuniętego zagadnienia, pozwól sobie przypomnieć jeszcze raz schematycznie i telegraficznie jakby bieg zdarzeń, zaszłych u progu nowego państwa polskiego.

SILY SPOŁECZNE

Na początku spójrzmy, jakie siły społeczne, okrzepłe czy narastające („wychodzące”) gotowały się do wystąpienia w ówczesnej rzeczywistości polskiej. Mamy tu wyraźnie dwie osie, wokół których te siły się grupują.

Jedna to tradycyjna grupa „monopolistów” na wpływy i „posiadanie” — to ziemianie, spadkobiercy Polski, jako instytucji ich przywilejów, jasne, że grupa ta z tradycji, zapisywała się zawsze po stronie przywilejów. Ku nim ciążył polski świat kapitalistyczny, „posiadacze” również, nie ziemi wprawdzie, lecz fabryk, przedsiębiorstw, jest tu kupiectwo i znaczna część miejskiej pretoriańskiej inteligencji — zawodowej. Cała ta grupa to ludzie o wyraźnej osobowości społecznej, ukształtowanej, jak mówi prof. Chałasiński w kręgu kultury inteligentno-szlacheckiej. Jej baza społeczna jest dawna warstwa szlachecka.

Baza społeczna drugiej osi jest chłop ska wieś i proletariat miejski. Prądy postępowe ogarnęły tych ludzi jako tworzywo, z którego ma wyjść nowy kształt Polski — Polska Ludowa. Rezultatem tego procesu jest polski ruch ludowy i ruch socjalistyczny. Ten drugi jest bardziej preżny, i bardziej powszechny, ma on więcej bodźców zewnętrznych, włącza się w postępową myśl europejską, dlatego zawiera dużą zdolność zapładniającą wobec z natury rzeczy bardziej rodzimego, lokalnego ruchu wsi.

Ale i dużo naszych działaczy wiejskich na przełomie XIX i XX wieku przeszło przez szkołę socjalizmu.

Jakimi środkami dysponują te siły społeczne?

W rękach pierwszych znajdują się majątki, fabryki, przedsiębiorstwa, oni mają zdecydowany wpływ na gospodarkę i kulturę, kierują wychowaniem,

mimo zaborów znaczna część aparatu administracyjnego jest w ich rękach. Warstwa ziemiańska ma swoją instytucję klasową — jest nią Związek Ziemian, ma on broń wyraźnie interesów gospodarczych ziemianstwa.

Stanowią więc oni siłę realną. Dla skrótu nazwiemy ich „dysponentami”. Do nich to zwraca się okupant niemiecki w czasie wojny światowej. Z nich wychodzi Rada Regencyjna.

Ruch ludowy i socjalistyczny dysponował jedną rzeczą — poczuciem służności własnych zadań. Siły realnej jednak nie posiadał. Pokazał to jaskrawo fakt Rządu Lubelskiego. Daszyński łącznie z radykalnymi przedstawicielami ruchu chłopskiego tworzy w pierwszych dniach listopada (7 — 8) w Lublinie rząd robotniczo-włościański. Rząd ten nie znajduje oparcia, pada! Dlaczego? Tu właśnie jest pierwszy rys, pęknięcie na tym, co nazwiemy ideą Polski Ludowej. Udziału w tym rządzie odmawia wódz ruchu chłopskiego Witos. Jak to się właściwie dzieje? Tu właśnie widać, jak duża siła rozporządza „dysponentami”, duża siła wychowawcza, siła wpływu **kulturowo-ujarzmiającego**. Robota ta jest prowadzona od dawna, streszcza się ona w słowach: „Z polską szlachtą polski lud”. Sfery ziemiańskie zdawały sobie sprawę, że muszą ujarzmić i skanalizować tę nową siłę społeczną, jaką tworzył ruch ludowy pod koniec XIX wieku.

Chodzi im o to, żeby go sobie podporządkować i włączyć w swój system. Działają tu literatura, prasa pseudoludowa. Dla pokwitowania rzuca się chłopu komplement: „Chłop potęgą jest i basta”. Chce mu się stworzyć pozory mocy, chce się w nim utrwalić postawę „ludu serdecznego”; żadnych sprzecznych interesów, żadnych uraz, idziemy razem! W tym miejscu podsuwa się legendę Kościuszki. I robią to ci, których dziadkowie Kościuszkę „utracali”, dlatego, że Polska chciał wywalczyć ludem. „Piast” odmówił przez Witosu udziału w rządzie lubelskim, odmówili tego udziału ci przedstawiciele chłopów, którzy łącznie z „panami” zasiadali na ławach poselskich parlamentu wiedeńskiego i galicyjskiego. Tradycyjna polska szlachta odniosła potężny sukces. Chłopi „Piastowcy” ulegli największemu w procesie historycznym **bałamuctwu**. Polska Ludowa, sprawa Rządu Lubelskiego przegrała. Na siłę oporu zdobyli się wówczas radykalne odłamy warstwy chłopskiej, które odrzuciły szlachecki patronat, miały one jednak za mało realnej mocy, żeby już

wówczas stworzyć dostateczną przeciwwagę tamtej, dawnej odżywiającej Polsce.

Zanotujmy sobie w pamięci jedno. Jak wygląda wtedy nasza sytuacja wewnętrzna w oczach człowieka spoza Polski, obojętne w tej chwili czy to będzie Lloyd George, czy Lenin. Obaj notują fakt: Rząd robotniczo-włościański w Polsce z punktu pada, dominujące wpływy w kraju ma warstwa ziemiańska — kapitalistyczna, reprezentuje ją najżywiej obóz Narodowej Demokracji.

IDEA POLSKI ZIEMIAŃSKIEJ

10 listopada. Powrót Piłsudskiego z Magdeburga. Piłsudski odrzuca występując z mocną pozycją — oto organizator polskiej siły zbrojnej, reprezentant tych, którzy zdecydowali walkę orężną o Polskę, obojętne w tej chwili dla nas w jakim układzie, reprezentant „aktywistów”, tych, którzy czynnie chcieli wywalczyć państwo. Postać ta w tym momencie ma swoje dwa oblicza społeczne: naród ma do czynienia z człowiekiem, który przeszedł przez szkołę socjalizmu, dlatego to Daszyński po niedanej własnej akcji oddaje mu się do dyspozycji, oddaje mu do dyspozycji swoją władzę i Rada Regencyjna. Jedni i drudzy obdarzają go kredytem zaufania. Jednak drudzy — ziemianstwo — umie ten kredyt zdyskontować. Wśród tej grupy krystalizuje się wznowiona idea **Polski ziemiańskiej**. Idea ta może się obecnie skonkretyzować w jej jednym na razie aspekcie, — w działaniu państwa na zewnątrz, w jego imperialnej polityce (powrót przy pomocy oręża do wielkiej Polski Jagiellońskiej).

Gdzie leży interes ziemianstwa? — Na kresach wschodnich: utracone majątki i latyfundia; włączają oni więc w swój system dawne nastawienie antyrosyjskie Piłsudskiego. Ot, oto i problem wojny z Rosją. Czy moment do tego się nadaje? Potężne połacie na kresach, które chwilowo są jakby ziemiami „niczymi”, Rząd sowiecki uwikłany w trudności wewnętrzne — walka z kontrrewolucją, nie zmontowany dostateczny aparat państwowy, czy nie jest to właściwy moment. Czy ówczesny rząd komunistyczny, który się gwałtownie od ciężaru wspomnianych trudności wewnętrznych mógł zadecydować wówczas wojnę na zewnątrz? Mamy prawo sądzić, że raczej nie; akcja pogranicznych oddziałów była akcją zapobiegawczą,

ubezpieczającą inne wewnętrzne fronty. I tu wypływa znów sprawa lubelskiego rządu robotniczo-włościańskiego. Tylko ten rząd mógł wówczas dać Sowietom Rosji **poczucie bezpieczeństwa**. Ponieważ dochodzi do głosu w Polsce wpływy, przeciwko którym rząd ten walczył i walczy nadal u siebie w kraju, siła rzeczy więc czuje się zagrożony. Tu powód przesunięcia swoich wojsk na swoje kresy zachodnie. Koncepcja wojny ideologicznej została właściwie dorobiona, wojny tej mogło nie być wcale. Odpowiedzialne za nią są wobec tego te siły, które „utraciły” Lubelski Rząd. Grupa „dysponentów” czuła się zastraszoną w pierwszej chwili tym, co działo się na Wschodzie, próbka tego miał być u nas Rząd Lubelski. Likwidacja niebezpieczeństwa wewnętrznego i rozwielenie się na zewnątrz to punkt wyjścia polityki tej grupy. Mają do dyspozycji instrument — organizujące się oddziały Piłsudskiego.

Legionowcy mogą być włączeni w ich system, bo przecież walka jest ich żywiołem. Ta grupa wydziela „dysponentów” potencjalnej siły w ówczesnej Polsce — wojska. Wskazuje się tu dwie rzeczy na raz — broni się własnych interesów, a narodowi rzuca się ideą potężnej Polski, od morza do morza. Niech realizują tę ideą legionowcy. I tak na treść klasowego zagadnienia nakłada się patriotyczna formuła. Jest się w dalszym ciągu nosicielem idei dawnej, potężnej Polski. A naród, chłop, robotnicy też coś otrzymają **dla siebie** — są przedmurzem chrześcijaństwa, bronią kultury zachodniej.

Sukcesy polskich oddziałów w pierwszych miesiącach 19 roku utwierdzają tych ideologów w koncepcji **wojny imperialnej**. Plan się realizuje — ziemie po Kijów są w polskim posiadaniu. Ale co dalej? Oddziały Piłsudskiego, niewielkie liczebnie, gubią się w granicach dawnej Jagiellońskiej Polski. Odcięte od swoich baz, wchłonięte przez obszar, są bezradne, nie stoi za nimi naród, żołnierze czują, że zostali wysłani w akcję, która ucziwiewie się nie tłumaczy. Bo jaka jest atmosfera w kraju? Naród wymęczony wojną światową absolutnie nie interesuje się wojskiem, które gdzieś zaginęło w dalekich przestrzeniach Rosji, nie interesuje się, bo w tej wojnie imperialnej nie widzi dla siebie interesu. Chłop czy robotnik nie ma w sobie ducha kondotiera na usługach ambitnych dysponentów politycznych, jest człowiekiem pracy i pokoju. Wieś nasza pozostaje wobec tej wojny w jej fazie imperialnej obojętna. Chłopów interesuje inna kampania, toczy się ona w tym samym czasie w parlamencie nowej Polski, kampania o reformę rolną. Ziemianstwo w chwili sukcesów na froncie nie chce nie ustąpić ze stanu swego posiadania. Widzą chłop, że mimo udziału w parlamencie, nowa Polska nie wiele ma im do dania. „Dysponenty” twarde trzymają bochen społeczny chleba. Chłop widzi, że to oni w dalszym ciągu są jego głównymi spożywcami.

Osobliwością roku 19tego jest atmosfera „ciszy przed burzą”. Wojska z woli „dysponentów” po cichu przygotowują Wielką Polskę ziemiańską. W kraju z woli tych samych dysponentów zwleka się z „reformą rolną” do momentu sukcesu wojennego, aby wów-

Józef Andrzej Frasiak

Wzgórza

Psy legawe, psy halaśliwe.

Bucz nisko baki pastwiskiem.

Jeżyna owinęła się rudym listkiem.

Ścichający wiatr kołysze niwę.

A stary pobrzkuje, kosę klepie

beczy omotany w cierniach baran,

baba, zbierając klóście, szczyrzy zębiska stara,

obłoki najwyższe przepływają wolno po niebie.

Od wzgórz, od strzeżonych tarniną zboczy,

macierzanka, polna mięta, ciągnie chłodem.

Jeżyny, ostre czarne jagody wloką spodem

i tylko słońce z listowia przeciwieca chłodem oczy.

czas uderzyć pięścią w stół. Dość waszych mrzonek! My panujemy!

Tymczasem bezsens ambicji „dysponentów” nie każe już długo czekać na swoje odsłonięcie. Aby mieć ziemię do Dniepru trzeba pobić Rosję. A pobić to znaczy przejść Rosję. Nie udało się to potężnej armii Napoleona, nie udało wielo-milionowej Hitlera. Nasz 50-tysięczny korpus zajmując Kijów już znalazł się w sytuacji przegranej. Dalej iść nie śmie. Jest to okres oczekiwania na zorganizowanie się Sowietów do zadania już potencjalnie istniejącej klęski. Rośnie panika. W lutym 1920 roku „dysponenci” zwracają się do Anglii o poparcie. Odpowiedź jest jedna: wyznaczaliśmy linię Curzona, nasza Rada Najwyższa w Paryżu podała Zbruc, za resztę sami ponosicie odpowiedzialność.

Zaczyna się odwrót. Dopiero w tej chwili „dysponenci” przypominają sobie o istnieniu mas narodu. Na gwałt starają się je wojną zainteresować. Naród i bez tej propagandy uświadamia sobie grozę nadciągającej burzy. Ale dopiero teraz w roku 1920 staje on w obliczu wojny, która dla niego nie istniała w roku ubiegłym. Naród czuje się współodpowiedzialny za wojnę obronną. Ale jeśli — naród, to nie — „dysponenci”. Staje więc u steru rządu Witos i Daszyński — bronić! Bronicie szlacheckiej przegranej, krycie szlachecki grzech przeciw narodowi.

Powołanie Witos i Daszyńskiego ma znaczenie nie tylko wewnątrz kraju, nie tylko służy mobilizacji masowych sił do obrony Ojczyzny, ale ma wymowę polityczno - dyplomatyczną. „Dysponenci” w panice o swój los zmieniają sztyld narodowy — Polska — to chłop i robotnicy. I mimo, że jak się okazało, nie masy ludowe wówczas wykorzystwały ten krytyczny dla „dysponentów” moment, ale zostały użyte przez nich, wciąż nie wypuszczających z rąk reżyserii — dla Sowietów miało to znaczenie. Lenin wyraźnie określił stanowisko Z.S.R.R.: Polska musi mieć niepodległość. Obecność Witos i Daszyńskiego w rządzie miała dla przebiegu i wyniku wojny pozytywne znaczenie od zewnątrz. Prowadziła do porozumienia. Odpowiedzią Witos na zapytanie dyplomaty włoskiego „była wiara i wezwanie ludu do spełnienia obowiązku wobec Ojczyzny”. Kiedy w latach międzywojennych te same siły, reprezentujące „ideę Polski ziemiańskiej” nie mogły wciąż jeszcze — jak pisze prof. Grabski — „wybaczyć Polsce współczesnej traktatu Ryskiego” — Witos mówi o 20 roku: „Rząd, który poczynił wszelkie wysiłki dla zwycięskiego zakończenia wojny, uznał za wskazane aprobować tak fakt istnienia pokoju jak też i omówione warunki”.

WNIOSKI

Rok 1920 to rok 19 i 20, wojna ma tu swoje jaskrawe odcinające się dwie fazy; pierwsza faza wojny imperialnej, reżyserowana i prowadzona przez „dysponentów” daje fatalną przegraną; znajduje swój żalostny finał w obronie Warszawy. Teraz zaczyna się faza druga, faza obronnej wojny narodowej. „Dysponenci” nie przestają być nadal reżyserami, podrzucają jednak teraz na prowadzenie wojny autorytety mas ludowych. Z perspektywy ćwierćwiecza taki układ nie pozostawia dziś żadnych złudzeń, choć wówczas w 20 roku jakże się łudził Witos pisząc w „Odezwie do włościan”: „oddając władzę prezydenta ministrów w moje ręce, stronnictwa zadokumentowały, że Polska jest i pozostanie państwem ludowym”, lub mówiąc po przełomie w Tarnowie: „na czele rządu postawiono chłopów, przez co stwierdzono, że państwo się opiera na ludzie”. Weale tego nie chcieli stwierdzić „dysponenci” i potrafili nie stwierdzić. Łudził się Witos i 24 września 1920 roku, kiedy na Sejmie powiedział: że „rząd jest zdecydowany wprowadzić w życie jak najszybciej reformę rolną”. Po latach Grabski pisząc „Idea Polski” uprzytomnił właściwy mechanizm procesu historycznego, który wówczas się dokonywał: „Zasada wywłaszczenia przeformowana była w Sejmie w 1919 roku większością znikomą, a następnie szedł uparty spór o każdy szczegół reformy. Ze strony ziemian polskich w odróżnieniu np. od rumuńskich, nie było prawie żadnej gotowości do większych ustępstw. Gdy ks. Seweryn Czetwertyński postać dla ziemianstwa naczelna, o wyrobionym autorytecie, zaczął stanowisko kompromisowe wobec idei reformy agrarnej, wykluczono go ze Związku Ziemian. Zaczął się ruch reakcyjny. Został on na razie przez nawale bolszewicką w 1920 roku sparaliżowany. Pod groźbą utraty wszystkiego zgodzono się na pewne ustępstwa w Sej-

mie i ustawę o Reformie Rolnej uchwalono znaczną większością głosów. Ale gdy niebezpieczeństwo bolszewickie minęło, zaczęła się obrona, krok za krokiem, przeciwko możliwości wprowadzenia w życie ustawy o Reformie.

II

Znamy dzieje dwudziestolecia międzywojennego. Masy chłopsko - robotnicze pomogły obronić naród, ale równocześnie pomogły utrzymać wpływy nadzarpniętych fortunatów. Tak jak umieli oni złudzić i masy i ich przywódców w 18 roku „ubijając” Rząd Lubelski, jak w 20 roku sobie z nich pomoc wystawiając, tak i potem umieli Ruch Ludowy czarować przeświadczeniem, że bez „Narodowej Demokracji” i bez zgody Kościółki nie się nie da zrobić, tak umieli i socjalistów utrzymać przy sobie Piłsudskiego i włączyć ich czynnie w przewrót majowy, obrońcy w istocie przeciw chłopu i przeciw robotnikowi.

Nadal pozwolił lud na wyznaczenie mu roli „serdecznego ludu”. Owoce konkretne spożywał, jak pokazały lata przedwojenne, kto inny. Byli to nadal ci sami „dysponenci” i ich kondotierzy ziemianscy, i ich pretoriańska inteli-

gencja, żyjąca tradycją „rezydenctwa” w strukturze kultury szlacheckiej.

„CUD NAD WISŁĄ”

Cóż w rezultacie wyraża ten zwrot? Przegraną imperialną wojnę o Polskę ziemiańską i odpowiedzialność za nieobliczone straty, jakie poniósł naród przez tę sprowokowaną — wojnę, kryjącą zresztą „dysponentów” pod zwrotem „Cud nad Wisłą”. Po to im był potrzebny. Zamaskować przyczyny i uniewinnić się. Kryje ten zwrot i więcej jeszcze: kiedy naród wybraniają masy ludowe i autorytet ich przywódców i perspektywę Polski Ludowej — mówi się: „Cud nad Wisłą”, żeby właśnie o tamtych siłach i ich pretensjach niezaspokojonych nie mówić.

W najlepszym razie mówiło się — i ta tradycja przetrwała — że to był cud jedności narodowej. Ale to chyba „cud” w znaczeniu „przypadku”. Bo chłop i robotnicy bili się w swoim przeświadczeniu o przyszłą Polskę Ludową, a studenci, księża i część inteligencji biła się na gruzach idei Polski Ziemiańskiej. To byli wierzący, oczarowani „tradycją narodową” poza-chłopską, pozarobotniczą.

Stanisław Skoneczny

Opowieść roku 43

I

Obłoków fale spiętrzone i mgły
rozbiły nocy nadchodzącej atak.
I tylko zboże nisko w polu drży,
gdy wiatr obrywa płatki wątle kwiatów.

Słyszałeś huki. Nie widziałeś bitw.
Na wrzosowiskach wśród złamanych kalin
zostały tylko wianki zaschłej krwi
i rdzewiejące szczątki porzuconej stali.

Na polskiej ziemi w pracowitych gminach
odpoczywają tylko wierzyby w cieniu,
ludzie każdą wojnę jak karę za winy
modlitwą i płaczem przyjmują w płomieniach.

A czy ci ludzie popełniają winy?
Jak długie ich życie tak nad siły trud
ramiona dniami przybija do gleby,
gdy w skwarze spulchniają twardość grud,
by kraj miał dosyć mięsa, tłuszczu, chleba.

Zmierzech wszedł już w poźółkłą brzezinę,
zostawiając modlitwy i płacz
na drodze kobietom wracającym z pola
Rozwiesza smutek krajobrazu mgła
na pochylonych jesienią topolach.

Ponad wioskami jak topór wśród gwiazd
błyszczy złowieszczę znów stalowy księżyc,
przygasły luny wsi, zburzonych miast
i uciśnięty pochód gnanych synów, mężów.

Tylko szloch matek i boleść żon
nienawiść sączą w wzrok chłopców zuchwałych
do ludzi, co przybyli tu z zachodnich stron
na czołgach, które plon ziemi zdeптаły.

II

O czym mówią kobiety, gdy opada szron
kłosami świerków zielonych i jedli?
Nocą ich zabrali, a rankiem powiedli,
potem slychać było strzały i krakanie wron.

O strzechy uderza wiatr i śnieg się skrzy.
Rosną zimy zaspami na drogach i polach.
Na śmierć synów padały czarne lzy,
rozstrzelanym trumien nie sporządzał stolarz.

W dolinach się chwieją cienie długie gór,
mroczy się, wilgotna nad rzeką ziemia.
Naostrzyłeś bagnetem osiem różnych piór,
krwią konia zabitego piszesz poemat.

Myślisz, że zrozumią kiedyś twą opowieść?
Może zrobią z niego patrioci film,
gdy ty, główny bohater z rozstraskaną głową
na pół metra głęboko będziesz w lesie gnął.

Za lat kilka, kiedy opadną huk i dym
i zakwitną pola urodzajem nowym,
w wojnę z bogaceni do kin będą szli,
by oglądać jak ginął wówczas w Polsce człowiek.

Sosny szumią żywica, kiedy paproć schnie.
Cisza była chyba na początku świata.
Zasypie śnieg styczniowy popalone wście
a z murów i płotów wiatr zerwie, plakać
z imionami ojców zabitych i synów.

Piszesz więc o naszym życiu?

— Tak.

Nie, psuj, oczu, wszak mrok już jest siny,
odłóż pióro, które zgubił ptak.

O rymach

Dziwią mnie niekiedy złośliwe ataki wybitnego poety Przybosia na sztukę rymowaną. Czytam i czytam jego zdania i niekiedy trącam się w głowę, czy ja przypadkiem nie śpię, czy ktoś we śnie nie kpi ze mnie w najlepsze?

Przyboś zapewnia, że skończył się wiek rymów, że liryka, ta prawdziwa (!) może się bez rymów obejść i t. d. — wreszcie kategorycznie, że minęły czasy, kiedy poeci pisali wierszem powieści, poematy filozoficzne i fraszki. Kto by pisał je dzisiaj „ośmieszyłby się na zawsze, ogłasza narodowi do wiadomości. Trącam się drugi raz w głowę, dalibóg on kłamie, albo zasnął i nie wie, co się w Polsce poetyckiej dzieje! Wszakże to nie przed wiekiem, ale ostatnio głośni poeci skamandrycy, Tuwim i Broniewski napisali wielkie poematy — powieści — „Kwiaty Polskie” i „Bania z poezją” (znawcy mówią, że to niby brechty, ale to przecież nie wiadomo, zupełnie niewiadomo) — następnie na emigracji zakwitła pękna sentymentalna gawęda wierszowana — Baliński, Słonimski, wreszcie w kraju kilku poetów t. zw. kręgu chłopskiego stworzyło także większe całości wierszem — poematy, powiastki, powieści etc... A więc Nędza-Kubiniec „Janosika”, Pięta „Partyzanta i dziewczynę” i inne. Skoneczny „Kostkę Napierskiego”, Ozga Michalski „Emeryka” i „Poemat Nowosielecki” — w końcu stary, lecz utalentowany Marcinek swój „Straszny Rok”.

Przyboś radby w porywczosci zwięzić obszary poezji do rodzaju, który on uprawia. Jakżeby jednak liryka polska wyglądała, gdyby byli „tylko Przybosie, gdyby rozlała się jego piękna „fala krajobrazu”. Brzozy i brzozy by szły — i wreszcie jakoś człowiek zupełnie by uciekł ze strof.

Osobiście zresztą nie lubię zbytnio rymów ale uważam jednak, że niektóre rodzaje poezji, choćby fraszki, satyra, czy powiastka, bardzo kiepsko wyglądałyby bez celnego rymu. Przepadłby ich sens zupełnie.

Zapewne, że liryka może świetnie obchodzić się bez rymów, i będzie niejednokrotnie nawet piękniejsza i celniejsza, ale nie o to chodzi. Nigdy się nie zgodzę na zdanie Przybosia, że proza zagarnęła wszystkie dawne rodzaje poezji, że poezją jest dzisiaj tylko liryka.

Prawdą jest, że w okresie międzywojennym powieść wtargnęła w krainę poezji zdecydowanie, że prawie 80 procent prozaików było „zarażonych” poezją, ale dziś gdy proza upomina się o oczyszczenie, zarzuca dawną liryczną mgłę, wiele gatunków poetyckich zagasił już jak powieść i powiastka wierszem (żart, list etc.), musi odżyć. Zresztą już odżyło, tylko Przyboś zjawisk nie zauważył, lub w nienawiści nie chciał zauważyć. Inna sprawa, że te zjawiska nie stoją na tej wysokości jak liryka współczesna, ale to już dalsza historia.

S.

W OSTANIM 31 (59) NUMERZE „WSI”
z dnia 11 sierpnia 1946 r.

Józef Pogan — Mój życiorys; Stanisław Pięta — Czytelnictwo poezji na wsi; Zdzisław Skwarczyński — Co to jest pisarstwo ludowe?; Józef Ozga - Michalski — Emeryk wędrujący; Maciej Chętny — 3 — 5 sierpnia 1945 r.; Jan Marcinek — Straszny rok; Piotr Chmura — „Chłopski świat”; Jan Aleksander Król — Co to jest „psychika wieśniaka”?; Léonard Sobierajski — O przechodzeniu chłopów do innych kręgów pracy; Włodzimierz Wnuk — Dwa koncerty; Listy do Redakcji „Wsi”; 5 ilustracji, 8 stron.

Piotr Chmura

WYSIEDLANIA

RACHUNEK STRAT I SAMOWIEDZA NARODOWA

Weszliśmy w okres konferencji pokojowej. Jej wyniki zadecydują o przyszłości Europy. Na konferencji są przedstawiciele państwa polskiego, ale na konferencji musi być również obecny cały naród. Idzie nam o obecność świadomości narodowej, o jej czujność i poczucie powagi momentu. Przypomnienie to ciśnie się nam pod pióro pod wpływem nadesłanych do redakcji przez czytelników chłopskich opisów „krzywdy niemieckiej”. Materiał ten sumiennie przeglądając dostrzekamy wyraźne powtarzające się dwa typy sprawozdań:

Jeden jest ścisłym rachunkiem krzywd i strat narodowych.

Drugi ma patos dramatu historycznego.

W jednym wyraża się praktyczna postawa doraźnej obrony i doraźnych wyrównań, w drugim — samowiedza narodowa, która cios zadany przez najeźdźcę ujmuje w proporcjach dziejowych wydarzeń.

Wydaje nam się, że te dwa ujęcia razem tworzą pełnię współczesności nas obowiązującej postawy narodowej.

Osobliwością listów naszych czytelników jest to, że ta sama, wspólna całemu narodowi samowiedza została tu osiągnięta wyłączenie w warunkach socjologicznych jednego środowiska. Mimo oderwania od innych środowisk w dyspozycji społecznej, kulturalnej i gospodarczej wyższych, wieś zostawiona na całe lata sama sobie, zachowała niezwykłą przenikliwość, łączność narodową.

Stu tysięczne Bataliony Chłopskie to 3 bechowców na jedną wieś. Nasze listy wskazują na ich podstawę, na wieś nie konspiracyjną, a mimo to nie obojętną, na wieś, która w całości występuje jako przedmiot terroru niemieckiego i jako podmiot w narodowej samoobronie.

Ważnym jest uprzytomnić sobie, jak cała konkretność warunków wiejskich modyfikowała te dwie ogólnie narodowe postawy i jak poprzez swój materiał i swój system ujęć i działań dochodziła wieś z reguły do ogólnonarodowej samowiedzy.

Dla zilustrowania tego procesu zamieszczamy dwa wybrane opisy.

PONIEMIECKA „KRZYWDA”

Autor tego opisu przedstawia historię ośmiu domów na skrzyżowaniu drogi Annapol — Józefów w powiecie kraśnickim. Nazywa się ta osada „Krzywda”. Nazwa jest świeża, powojenna. Osada stanowi resztę dwóch wsi Rachowa, Górnego i Dolnego, celowo zachowana przez Niemców po wysiedleniu i zrównaniu z ziemią zagród, w których mieszkało tysiąc osób. Autor początek tej historii cofa bardzo daleko wstecz. Ale nie jest to objawem niezaradności umysłowej, tak często wysmiewanej w gminie, w sądach, gdzie chłop musi „wszystko od początku” opowiedzieć, bo inaczej nie umie. Tu jest co innego. Ten chłop mówi nie o Niemcach, mówi o ich „aparacie” i „systemie”. Coś się dlatego w opowiadaniu, aby pokazać działanie paratu według określonego systemu. W jego oczach na wieś spada nie grad oderwanych niezrozumiałych uderzeń. Działa wobec niego system.

To jest nawet nie kronikarz życia rodzinnej wsi z lat okupacji — to „adwokat” chłopskiej gromady. Aż budzi zastanowienie, skąd i jak zebrał on ścisłe rzeczowe materiały do akt sprawy Rachowa.

Ludzie mówili: za duże kontygenty, nie podaliśmy. Ludzie mówili — dzieje się niesprawiedliwość, co wola o pomstę do nieba. Nasz autor nie poprzestaje na wzruszeniu, na wyrażeniu wymiaru nieszczęścia, na plastycznych faktach. On oblicza straty, na krzywdę wsi ujmuje w kryteria statystyki ekonomicznej. W tym dopiero systemie według niego jest ona zobiektywizowana.

Przestaje być przeżyciem wewnętrznym jednostek, rozmaitym w treści i formach — a staje się wspólnym społecznym faktem, podającym się ścisłemu sprawdzeniu i potwierdzeniu. Tradycyjnemu „ludowemu” czuciu siebie przeciwstawia on nowoczesną, rzeczową świadomość społeczną.

Od czego więc zaczyna? Od kontyngentu nałożonego na wieś w r. 1940 (zniszczenie wsi nastąpiło dopiero w r. 1942).

Podaje powierzchnię orną gminy Annapol, podaje następnie jej wykaz, sporządzony przez komisję gromadzką dla komisarzy kontyngentowych. Wylicza, że podano o 33% mniej, że na poszczególne gromady wypadało mniej od 24 proc. do 54 proc. Pokazuje, że te wahania zależały od odwagi sołtysów i stopnia ich „respektowania zarządzeń niemieckich”.

Nowy wykaz stanowił walną obronę dochodowości wsi. Ale w stosunku do Rachowa 33 proc. nie stanowiły żadnego zysku, odpo-

wiadały bowiem akurat faktycznemu stanowi rzeczy.

„W tych dwóch wsiach może trzech gospodarzy miało coś do zbycia, reszta potrzebowała zarobić w miejscowych kamieniołomach, u fosforytu lub w innych gromadach na sezonowych robotach rolnych i z workiem pójść i kupić”.

„Ziemia bowiem tu piaszczysto-kamienista, w dodatku przeludniona. 4 osoby na 1 ha. Kontyngent obciążył jeden ha w ożminie na 1.300 kg., w jęczmieniu na 1499 kg., w owsie na 600 kg., proporcjonalnie innymi płodami”.

Powtarzamy za autorem szereg cyfr, bo to nie prawda, aby miały one być nudne. Czytelnik musi w nich zobaczyć, uzmysłowić nowego chłopca, nowego Polaka. One mają wymowę już nie „serdecznego ludu”, którego reprezentant apeluje do naszych wzruszeń, balamucąc nas ich bezwynikiem. (Jak J. Dec w „Chłopskim Świecie” — „szczerze uczucie mocniej do chłopca przemawia, niż miedrca szkiełko”).

Te cyfry to dowód zdolności do zaradnego, rzeczowego organizowania się wsi polskiej. W tych tabelach widać wzór przyszłego polityka Samopomocy Chłopskiej, tj. organizacji, która pragnie pomnożyć przyjemne wzruszenia właśnie „szkiełkiem miedrca”, i która dlatego sięga do mechanizmu procesów gospodarczych, źródła naszych szczęśliwych i tragicznych przeżyć rodzinnych i społecznych, umie go określić, opanować i rozwinąć na „pożytek nasz zbawienny”.

Nasz autor — Wojciech Naborezyk — ukazuje równoległe rozwój świadomości niebezpieczeństwa w gromadzie wiejskiej.

„W początku ludność nie znając niemieckiej taktyki wymuszania i postrachu przyjęła do wiadomości te ciężary nie dość serio; każdy powiadał „coż mi zrobić, kontyngenty są strasznie wysokie w stosunku do naszej najlichszej w całej gminie ziemi — zawsze tam przyjdzie jakaś sprawiedliwość, zbada co i jak, ile u nas jest osób na jednej mordzie, a ile gdzieś indziej i uzna, że nie jesteśmy w stanie nic dać”.

Ale równocześnie zakładano protesty i próby.

„Dzień po dniu wzywano sołtysów i gromadzką komisję kontyngentową na różne konferencje gminne i powiatowe i rzucano najrozmaitsze gromy, straszono wysyłką na Sybir lub do Azji choć jeszcze nie znajdowały się w rękach niemieckich, udzielano prolonatów od 1 do 15, od 15 do 30”.

Wynik był ten, że gromada nie oddała nawet 50 proc. kontyngentu. Ze strony niemieckiej aparat posunął się wobec tego do wypełnienia dalszego punktu systemu.

„19.10. 1941 zjechała karna ekspedycja w sile 40 gestapowców, ci zwołali konferencję, na której niektórych sołtysów i gromadzką komisję od kontyngentu aresztowano i wywieziono do obozu w Janowie (Majdanek powstał później). Gestapowców widocznie władze gminne poinformowały, że w gromadach Rachów Nowy i Stary, najbardziej winnych, nie ma co rabować, pojechali tedy na rabunek do Grabówki i Świeciechowa”.

W lutym 42 roku władze gminne i kontyngentowe przystąpiły do spisu gospodarstw do wysiedlenia.

„Wyglądało to urzędowanie w ten sposób: pisarczyk gm. przed którym leżał druk w języku niemieckim i polskim, kolejno przywoływanej osobie surowym głosem zadawał pytania — ile odda, ile zasiał, ile zjadł, a ile ma, ilość, jakość i wagę z całą dokładnością każda osoba podawała, przyczem urzędująca komisja w asyście sołtysa i policji dozorowała nad sumiennością pytanym i od siebie zadawała pytania; naprzykład:

— W takim razie co posiadacie do życia? — Mam 10 kg żyta.

Na to policjant:

— To ty cholero kontyngentu w 100 proc. nie oddałaś, tylko dla siebie odważyłaś się zostawić żyto!”

6 marca obstawiono wieś. Zaczęło się wyciąganie ludzi z domów i „ustawianie w czwórki”. Ludność z obu wsi poprowadzono wśród zadymki i zasp śnieżnych do Annapola.

„W tym czasie komisarz ze swoją służbą jeździł dzień i noc i rabował inwentarz żywy i martwy i co tylko się dało. W obozie w Annapolu ludzie zebraли 30 zł. na mszę. Myślicie, że ksiądz ich nie przyjął? że wzruszyło go współczucie dla wiernych chrześcijan, bynajmniej, pieniądze wziął i schował jak od dziedziców”.

Zatrzymanych w Annapolu rozdzielono na wywóz do Niemiec i do obozu w Janowie. Rachów Stary i Nowy rozebrano, zostawiając tylko 8 domów dla robotników powiększonego w ten sposób majątku Rachów.

„17 kwietnia ziemię opalowano, 4 maja zaczęto ożminę posianą w szachownice orać, wypasać i kosić”.

Nad dokumentami

Stanisław Paleczny

O roku ów

Był to już czwarty rok tej strasznej wojny. Wioska nasza do tego czasu mało jeszcze ucierpiała od niemieckiego najeźdźcy w porównaniu z okolicznymi. Wtedy jednak, gdy najbliższe wioski, jak: Sleszowice, Skawce i Mucharz padły ofiarą wysiedlenia, przyszła też i groza na Tarnawę, więc wszyscy szykowali się na straszną chwilę. Jednak i teraz ominęła naszą wioskę, lud począł się powoli uspakajać i nabrać ufności, że może to zło nie dotrze tu, teren jest górzysty (powiat wadowicki) i nie bardzo podatny pod kolonizację niemiecką. Powoli przeszła zima i wiosna, po okolicznych wioskach już gospodarzyli „baory” niemieckie przybyli ze wschodniej Małopolski i Besarabii, aż tu nagle w sierpniu 1942 r. pewnej cichej nocy padła wieść, że nad ranem ma się odbyć wysiedlenie wsi. Wieść ta, jak błyskawica, przeleciała od domu do domu i postawiła wszystkich na nogi, nim upłynęło parę godzin domy stały prawie puste, a ludność z dobytkiem w większości uszła do zagajników i kęp, rozsianych gęsto w naszych terenach. Jakoż wieść się sprawdziła. Nad samym ranem, gdy już niektórzy sądząc, że nic nie będzie — wracali do domów, zaczęły cicho do wsi ciężarówki od strony Skawiec. „Żółci” zaczęli gonić od domu do domu szukając ofiar, które mieli na liście. Czekali ich jednak rozczarowanie, w większości domy stały puste. Zabrali tylko trzy rodziny, to im miało na razie wystarczyć. Odjechali bez triumfu. Ludzie choć ze strachem powracali do domów, nie rozpakuwając rzeczy jeszcze przez kilka dni, a nawet tygodni.

Przeszło tak lato, jesień, zima i znowu wiosna i lato stało w pełni, ludzie choć gnębieni, zwłaszcza Arbeitsamtem, przestali już myśleć o wysiedleniu, inne sprawy zaprzątały umysły...

Byli jednak ostrożni, którzy w tej sprawie zagadywali nieraz osadników niemieckich a głównie komisarzy gminnego, tzw. treuhaendry — Wojnar, ziemczonowego Czechy, który urzędował w Mucharzu i miał wszystkich Polaków w gminie pod swoją władzą, ten jednak upewniał, że Tarnawa nie zostanie wysiedlona i niektórzy wierzyli.

Był koniec lipca 1943 r., zbiory zapowiadały się bujnie, a żyta już leżały pod kosą, gdy na strudzonych całodzienną pracą w nocy 29 lipca spadł nagle ten cios straszliwy. Nikt nie spostrzegł, że wieś ze wszech stron otoczono silnym kordonem, a we wnętrzu rozpoczęła się pracę komisja wysiedleńcza przy pomocy okolicznych „baorów” a nawet tutejszych przechrzczeńców folksdeutschy, którzy służyli bliższymi informacjami. Tych zdrajców, którzy się zaparli imieniu polskiemu, mieliśmy wówczas we wsi cztery rodziny z sołtysiem Janem Nosalem na czele. Była prawie druga godzina po północy, gdy SS-owcy bijąc kolbami w drzwi i wywalając okna wdzierali się brutalnie w uśpione domy. Cel był wiadomy: natychmiast się pakować! Gdzie grupa matych dzieci wchodziła w rachubę, tam ojciec i matka nie wdzierali do czego najpierw ręce przyłożyć. Trzeba sobie wyobrazić płacz dzieci budzonych nagle, których matki nie miały nawet czasu przeżegnać. Do każdego domu wyznaczono dwóch esesmanów czy też „żółtych” SA, zwanych przez lud „szerszeniami”, którzy przyspieszali wymarsz na miejsce zbiórki. Ciężko było wypędzonym rozstać się ze swą chudobą, z krwawym potem opłaconymi gospodarstwami, ze ścianami bielonymi białym wapnem i ze wszystkim co stanowi dobro i ukochanie rodziny wieśniaczej.

Lud nasz zachował się jednak mężnie. Nikt nie skomlił o łaskę, wszyscy idąc na okrutną poniewierkę wierzyli święcie, że to do czasu tylko i że wyzwolenie z tej męki kiedyś przyjdzie musi. Spędzonych jak bydło, uginających się pod ciężarem tobołków, zgrupowano w budynku szkolnym, gdzie spisano wszystkich i skąd z triumfem powieziono do stacji kolejowej Skawce, a stąd do obozów pracy.

Aż po paru dopiero tygodniach zaczęli zjeżdżać do wsi przybylsze z Besarabii — pionierzy niemieccy na przyłączonych wschodnich obszarach Rzeszy. Teraz już wziął wieś pod swoją wyłączną władzę komisarz Hugo von Eckhel, który z nieodstępnym nahałem w rękę, zawsze kornie, czynił nowe porządki.

Po przeprowadzeniu Niemców powracający nazwali osadę 8 domów „Krzywda”. Nazwa się przyjęła.

„Własność dawnej ludności przywrócono 28.4. 45 r. pomiarem geometrycznym”.

HISTORIA NARODU

Drugi opis reprezentuje inny typ przedstawienia. Nie ma tu konkretów, cyfr, dat. Nazwa wsi, nazwisko komisarza i zdrajcy volksdeutscha mogłoby w tym opowiadaniu nie występować.

To, co otrzymujemy, stanowi jakby schemat tysiąca podobnych wysiedleń. I oto nieświadomie — idzie autorowi — Stanisławowi Palecznemu. Ten obraz ukazuje fragment historii narodu, nie historii konkretnej wsi.

Jest rzeczą uderzającą, że autor pisząc „sprawozdanie” posłużył się sienkiewiczowską techniką obrazowania.

Ta zbieżność była niezamierzona. Wyrosła mimowolnie i wcale nie dlatego, żeby Paleczny miał literacki w pierwszym rzędzie zamiar. Nic podobnego. I u niego jak u Naborezyka motywem do napisania — podkreślamy — sprawozdania było uświadomienie sobie społecznego znaczenia wysiedlenia. I on widział je jako część większego procesu. I on zamierzał odpowiedzieć sobie: gdzie należy umieścić, jak rozumieć wysiedlenie? I on nie jest kronikarzem tylko, nie wypadki kierują jego piórem. Odpowiada, co dla niego jako chłopca ten fakt wojenny znaczy?

Otóż, co znaczy? I dlaczego jest tu coś z Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem”?

Zacznijmy od drugiej sprawy. Pamiętamy obraz Ukrainy. Nastrój epoki, wagę dziejowych wydarzeń sugerował Sienkiewicz nie przez bohaterów fabuły, nie przez pierwszoplanowe postacie wodzów i statystów, nawet nie przez „naród szlachecki”, a właśnie przez lud na Dalekich Polach. On tu głównym bohaterem historii. Dlaczego?

Z dwóch względów. Historyczność to w popularnym rozumieniu — przeszłość nie tylko inna, ale kulturalnie niższa. Po drugie szło tam o wojnę, co to „ogniem i mieczem”. Nie ma historii w bohaterach romansu, nie ma jej tyle w dziejach „uprzywilejowanych”, skoro to, co się wówczas dzieje, ich najmniej zmienia. Jak mówi przysłowie „a najdzielniejsi króle biją, a naigęście chłopcy giną”. Zmiany w dołach, zmiany w masach to jest historia. Więc lud na Ukrainie — masa i niższość kulturalna, więc wojna, która masę gniecie, która masowy proces ukazuje.

Pamiętamy jak Sienkiewicz opisywał Zadnie-prze pod władzą ojca ks. Jeremiego. „Tam, gdzie niegdyś wiatr grywał dziko nocami na oczeretach i wyły wilki i topielcy, teraz hurgotały młyny... futury, slobody... Nieprzejrzany, jednolity widok borów i stepów ubarwiał się dymami chat, złożonymi wieżami cerkwi i kościołów — pustynia zamieniała się w kraj dość ludny”.

Oto za jednym zamachem dwa osiągnięcia: obraz masowego narastania kultury i pierwotność tej kultury. To jest perspektywa w historii. Dramatyczne działanie się historyczne da mu wojna, która mieczem, niewolą, zgłiszczami kraj ten obróci w perzynę. Dlatego we wrażeniu czytelnika historycznym wydarzeniem bardziej był tragiczny los ludu ukraińskiego, niż zdobywanie Baru, Lwowa, Zamościa, niż Zbaraż i Berestecko. Kultura staje się i kultura druzgotana, to jednak w „Ogniem i Mieczem” jest tam, na rubieżach. Dlatego tam odczuwamy, a nawet rozumiemy co znaczy kultura i co znaczy — historia.

Paleczny znajduje się w środowisku, gdzie cywilizacja to niewiele więcej, niż hurgotające młyny, a kultura nie wiele więcej, niż kościół i szkoła ludowa. Temu tu lasy i lany, sierpem i kosą żęte. Łatwo teraz zrozumieć, że ten czytelnik Sienkiewicza — jego technika opisy wojnę na wsi polskiej. Mimowoli i trątnie. U Sienkiewicza był to środek do oddania przeszłości, u Palecznego do oddania współczesności. U Sienkiewicza niskość kulturalna ludu miała wytłumaczyć uprawnienia „narodu szlacheckiego”. U Palecznego mimo tej niskości jest ona przedstawiona jako zdobywcza, jako osiągnięcie kulturowe. Wysiedlenie to nie zniszczenie materialne i biologiczne wsi, to zniszczenie części kultury narodu.

Paleczny daje świadectwo niesłychanej doniosłości wstrząsu, jaki dokonał się w świadomości chłopów czasu tej wojny.

Wbrew konserwatywnym teoretykom, którzy we wsi widzą sam witalizm i współzycie z naturą w ramach jej przyrodniczych praw, ten chłop dostrzegł przez wysiedlenie, że stracił nie przyrodę, nie „odwieczne utwierdzenie pod niebem”, ale kulturę, że żył zatem w systemie kultury, że wysiedlenie to zmiana kulturowa, zmiana na gorzej, że zatem można zmienić istniejącą kulturę na lepszą. Ruchowi zniszczenia przeciwstawił ruch budowania i rozwoju.

Słefan Baścik

Kierunek studiów akademickiej młodzieży chłopskiej

Artykuł St. Baścika opiera się na materiałach socjo-graficznych, zebranych przed wojną na U. J. w Krakowie. Byłoby dzisiaj rzeczą niesłychanie cenną dokonać ponownego sprawdzenia 1) motywów wysyłania młodzieży wiejskiej na studia i 2) wachlarza kierunków studiów.

Czy uwyraźniły się nowe autorytety, (instytucje, organizacje, indywidualne osoby?) mające nowe ideały i wzory społeczne? Jaką rolę gra w nich czynnik ekonomiczny? Jakie czynniki społeczne (wojna, przemiany ustrojowe, reformy gospodarcze i kulturalne) i w jakich postaciach konkretnie wytworzyły nowe autorytety i nowe zamówienia społeczne, a w konsekwencji: potrzebę samych studiów i nowy ich garnitur?

Z pobieżnych obserwacji wydaje się nie ulegać wątpliwości, że pęd do studiów wyższych wzmógł się, i że uderzenie główne trafia dziś na wydziały techniczne - praktyczne (politechnika, medycyna, rolnictwo, spółdzielczość (?)).

Wznawiane badania wskazywałyby nam na wzmocnione styczności wsi z miastem i nowymi instytucjami: Ksiądz, sędzia, lekarz, inżynier (geometra), nauczyciel, oto tradycyjny kierunek studiów tylko dlatego, że w dawnej przestrzeni społecznej wsi chłop stykał się z kościołem, sądem, chorobą, pomiarem gruntów, szkołą — a nie stykał się, nie był zainteresowany wieloma innymi dziedzinami i instytucjami, o nie mniejszym znaczeniu dla jego postępu i dobrobytu.

Jakie zaszły pod tym względem zmiany? I z jakich przyczyn? Odpowiedź na te pytania dałaby nam obraz historycznego, masowego posunięcia się naprzód wsi.

Wznawiamy więc pytania: 1) Jaka ilość młodzieży wiejskiej idzie ze wsi (gminy) na wyższe studia? (różnica w porównaniu z okresem przedwojennym), 2) motywy pójścia na uniwersytet i motywy wyboru kierunku studiów?

O odpowiedzi prosimy: działaczy wiejskich, nauczycieli, Koła Wiciowe, spółdzielnie młodzieży w gminach i w Szkołach rolniczych oraz — studiujących akademików-chłopów.

REDAKCJA

1. MOTYWY WYBORU WYŻSZEGO ZAWODU

U podłoża zjawiska wysyłania przez chłopów swych dzieci na studia leżą różne motywy natury ideologicznej, czy materialnej, noszące na sobie znamie *ogólnorodzicielskie, czy też specyficznie wiejskie.

Do motywów natury ogólnorodzicielskiej należeć będzie chęć polepszenia losu dziecka, pełniejszego zaspokojenia potrzeb życiowych. Następnie chęć uchronienia dziecka od nadmiernego trudu życia. Wreszcie chęć podniesienia dziecka na wyższy szczebel drabiny społecznej — a więc to, co nazywamy awansem społecznym itp. Obserwując rodziny chłopskie, z których rekrutuje się młodzież akademicka, bez trudności zdołamy stwierdzić, że rodziny te odznaczają się dużą ambicją, że odgrywają one znaczną rolę w życiu gromadzkim i że stanowią pewnego rodzaju „elitę” danej wsi. Są to na ogół rodziny bardziej ekspansywne. Odznaczają się one znaczną energią i pracowitością, śmiałością i odwagą wobec życia, które nie pozwala im zasklepić się w swojej miejscowości. Tradycje „elity” starają się te rodziny utrzymać i wysyłanie dzieci na studia jest jednym z ważniejszych środków utrzymania swego autorytetu jako też awansu społecznego.

Do specyficznie wiejskich motywów należeć będzie chęć odciażenia majątku przy licznych rodzinach (a takie na wsi przeważają) oraz w znacznym stopniu momenty religijne, poprzepłatane zresztą z motywami natury społecznej i gospodarczej. Następnie liczenie na pomoc w starszych latach jest również jednym z bardzo ważkich motywów wysyłania dzieci chłopskich do szkół. Rolnik utrzymujący się z pracy na swoim gospodarstwie nie otrzymuje znikąd zasiłków na starość i jest zdany w swych latach starczy na łaskę swych dzieci.

Zobaczmy jak określają te motywy swoich rodziców sami studenci-chłopi:

W.W. „Mnie posłano do gimnazjum tylko na to, abym poszedł na księdza.”

„S.S. „Po maturze, gdy chciałem iść na uniwersytet, dowiedziałem się, że byłem przeznaczony na księdza.”

„J.L. „Miałem iść na księdza. Z domu tego jak najbardziej chciałem. Później jednak zawód ten przestał mi się podobać i zrezygnowałem z niego. Brat, który początkowo nakładał na me studia, po tej decyzji przestał mi w ogóle pomagać.”

J.S. „Żebyś tak nie musiał robić jak my.” W ankietach na pytanie: „Jakie motywy odgrywały u rodziców rolę przy wysyłaniu go na studia?” mamy odpowiedzi:

„prawdopodobnie religijne — napotkałem na opór, gdy się zdecydowałem na wybór świeckiego zawodu, ze względów materialnych” (ank. 24).

„ojciec kierował się chęcią wywyższenia społecznego dziecka i pewną ambicją...” (ank. 21).

„chorowity byłem, nie chciałem, bym tak ciężko pracował jak oni sami. *Nie powiem również, aby im nie imponował awans społeczny” (ank. 24).

„rodzice chcieli, abym wykształciwszy się zostawił im swoją część majątkową” (ank. 29)

Silę tych motywów może nam zilustrować zestawienie z ankiety, rozprawdzonej wśród młodzieży chłopskiej na U. J. Na wyżej wymienione pytanie mamy odpowiedzi:

1. względy materialne (pomoc w starszych latach) — 5 wypowiedzi,
2. momenty religijne (ksiądz) — 23 wypowiedzi,
3. awans społeczny — 10 wypowiedzi,
4. polepszenie losu studenta — 6 wypowiedzi,
5. Chęć studenta — 5 wypowiedzi,
6. momenty zdrowotne (chorowitość) — 1 wypowiedź,
7. odciażenie majątku — 1 wypowiedź,
8. niepojęcie do wojska — 1 wypowiedź,
9. nie odpowiedziało — 9 osób.

Jak widzimy bezwzględna przewaga mają momenty religijne (zawód księdza). Następne miejsce zajmuje awans społeczny. Z dalszych motywów najczęściej występuje chęć polepszenia losu syna i względny materialny — pomoc w starszych latach. Motywy te nie występują pojedynczo, lecz często się przeplatają ze sobą. Idąc po linii tych motywów rodzice jak i całe środowisko wiejskie ulegają sugestii takich czy innych „dealtów” zawodowych, wyrosłych na podłożu gospodarczym, socjalnym i kulturalnym wsi, wywierają pewne sugestie i na samego studenta — gimnazjalistę. Ma to z kolei wpływ przy wyborze kierunku studiów.

2. KTO MA KSIĘDZA W RODZIE TEMU BIEDA NIE DOBODZIE”

Przyjrzyjmy się po krótko tym ideałom zawodowym.

Zawód księdza.

„Sprzedajmy dwa woły,
Niech idzie do szkoły...
A może i księdzem zostanie.”

Niespełnione marzenia i ideały chcą ludzie realizować w swoich dzieciach. Jakież to są te, niespełnione ideały na wsi? Wyrastają one przede wszystkim z materialnego położenia chłop polski. Chłop polski gospodarując na karłowatym gospodarstwie, żyje w ciągłej biedzie i w ciągłej żmudnej pracy. Stąd też w jego życzeniach ideał chłopu będzie żył w dobrobycie, nie będzie wiecznie zapracowany i będzie miał biały, delikatny ręce... Ideał białych rąk i białych kołnierzyków panuje zresztą w naszej kulturze jeszcze powszechnie. Ale chłop jest również członkiem grupy religijnej, której zawdzięcza najstarszą świadomość grupową (starzy chłopci mówią, że są katolikami, potem dopiero, że Polakami i chłopami. Ideał zawodowy i społeczny chłopu będzie posiadał i tę drugą stronę, mianowicie religijność — możliwe większe wtajemniczenie w tajemnice wiary, bliższe obcowanie z bóstwem itp.

Chłop dąży również do awansu społecznego. Pragnie, by jego dzieci były poważane, żeby posiadały znaczenie u drugich, tym bardziej, że awans syna spadnie pośrednio i na niego samego w opinii wsi.

Takim właśnie ideałem, który łączy wszystkie te cechy w swojej osobie jest przede wszystkim ksiądz. Ksiądz dotychczas jest tym najważniejszym autorytetem na wsi pod względem religijnym jak i pod względem wiedzy. Ksiądz jest również na wsi tym człowiekiem, który swoim dobrobytem — jak na stosunki wiejskie — odskoczył wysoko ponad poziom.

Nie więc dziwnego, że dla rodziców — chłopów ich syn najchętniej widziany byłby w sutannie przy ołtarzu; na wygodnej plebanii, gdzie to tyle miejsca, a w domu tak ciasno; wśród plebańskich pól — ile to morgów i to wszystko dla jednego, a tu na ojcowiznie 3-4 morgi lichego ugoru, a jeszcze należałoby to podzielić między kilkoro dzieci...

Do tych momentów dołącza się jeszcze moment osobisty — pomoc w późniejszych latach, bo przecież „kto ma księdza w rodzinie, temu bieda nie dobodzie”. Przysłowie to wyrosło na realnym gruncie.

Idąc za powabem tych marzeń ojciec — wieśniak i matka — chłopka wysyłają chętnie syna do „szkół”, prosząc Boga, aby rozbudził w ich synu „powołanie” — „a może i księdzem zostanie”. „Ucz się synku, zostaniesz księdzem, będziesz przy ołtarzu mszę świętą odprawiał, będzie ci lepiej, patrz jak to ksiądz nie musi robić...” To są argumenty najpowszechniej używane na wsi. Prawie każdy gimnazjalista, a szczególnie maturzysta gimnazjalny ze wsi przechodzi przez ich ogień. Trzeba dodać, że argumenty te są zwykle skuteczne i synowie chłopscy idą na studia teologiczne. Idą, bo taki jest zwyczaj. Idą, bo przyzwyczaili się już do tego, że są „przeznaczeni” na księdza. Idą, bo właśnie w takim środowisku się wychowywali, prze-

żywali więc te same niedze, ulegali tym samym ideałom, tym samym autorytetom. Idą, bo często zmuszają ich do tego warunki materialne, brak funduszy na kilkuletnie kosztowne studia uniwersyteckie na innych wydziałach. Młodzież też chłopska stanowi blisko połowę studentów teologii na uniwersytecie krakowskim.

Rzecz jasna autorytet księdza w dawniejszych czasach był znacznie większy. Zawód ten był też wówczas bardziej upragnionym. Przeważnie też — przynajmniej na terenie Małopolski tak było — prawie wyłącznym motywem wysyłania dzieci do szkół przez chłopów był zawód księdza. Temu też zjawisku może zawdzięczać niejednego inteligenta ze wsi swe wykształcenie. Pisze o tym Prof. Fr. Bujak w swym życiorysie p. t. „Drogi mojego rozwoju umysłowego”. „...Tak więc z ukończonym 10-tym rokiem życia opuszczałem rodzinną strzechę, przeznaczony przez ojców na księdza, a więc na stanowisko społeczne, będące jedynym realnym ideałem dla wsi ówczesnej”. Następnie pisze Fr. Bujak, że przy wyborze studiów uniwersyteckich „naigorsze życzenia ojca i solidarna z nimi opinia wsi szły w kierunku teologii”.

3. ZAWODY

Zawód sędziego.

Drugim ideałem zawodowym na wsi jest zawód sędziego (mniej adwokata), którego chłop widzi przeważnie w majestacie władzy podczas rozpraw sądowych, przy różnych procesach, których niestety jak dotychczas jest na wsi aż nadto dużo. Do wyboru tego zawodu dołącza się często moment ekonomiczny, mianowicie stosunkowo najtańsze studia w porównaniu z innymi wydziałami.

Zawód lekarza.

Następnym ideałem zawodowym na wsi, noszącym na sobie przede wszystkim aspekt materialny jest lekarz. Wprawdzie wieś, udając się do lekarza o poradę przeważnie wtedy, gdy jest za późno, nie wierzy zbyt w autorytet jego wiedzy. Woli w wielu wypadkach udać się do chłopca „specjalisty”, który jest zawsze tańszy i jego metody leczenia — przeważnie ziola — lepiej odpowiadają psychice wsi. Ale stosunkowo wysokie honoraria, które otrzymują lekarze za wizyty powodują, że mimo wyjątkowo znacznych kosztów studiów, pewien odsetek młodzieży chłopskiej udaje się na studia medyczne.

Zawód nauczyciela.

Jeśli idzie o ideały — autorytety, to należy tu jeszcze wymienić zawód nauczyciela, szczególnie nauczyciela szkoły średniej. Z osobą profesora spotykają się rodzice na terenie szkoły średniej kilka razy w roku na tak zw. „wywiadówkach”, a więc w sytuacjach urzędowych, specjalnie sprzyjających podniesieniu autorytetu stanu nauczycielskiego.

Temu autorytetowi w bardzo wielu wypadkach jeszcze silniej podlega sugestywna i ideowa nastawiona na życie starsza młodzież gimnazjalna. Nauczyciel zamilowany w swym zawodzie wpływa bardzo często na decyzję ucznia. Niezależnie od tego uczniowie przeceniają na ogół sytuację nauczyciela, którą skłonni są uważać z perspektywy ławy szkolnej za bardzo wyniosłą i godną podziawia. Wiele też ulega sugestii ideału wychowawcy i bierze ten zawód.

Ważnym też czynnikiem, wpływającym często na wybór zawodu nauczycielskiego jest idealizm społeczny wieku dojrzewania, pogłębiony przez humanistyczną atmosferę szkoły ogólnokształcącej.

Zawód inżyniera.

Pewną sugestią cieszy się na wsi również stanowisko inżyniera, z którym wieś styka się przeważnie przy pomiarach gruntu, czy przy innych robotach na terenie wsi. O zawodzie tym marzą, też nieraz rodzice na wsi. Mała jednak ilość politechnik w Polsce, a przez to zbyt duże oddalenie od miejsca zamieszkania, a również długie i kosztowne studia powodują to, że zawód ten jest na ogół rzadko przez młodzież wiejską wybierany.

Jeżeli idzie o pewne sugestie przy wyborze zawodu przez młodzież, to trzeba podkreślić tu duży wpływ gimnazjum. Ogólnie w szkole średniej ogólnokształcącej panuje jeszcze duch „białych kołnierzyków i czystych mankietów”. Szkoła humanistyczna ma wyraźną tendencję do idealizacji pracy nauczycielskiej i czasami artystycznej. Z drugiej zaś strony odnosi się raczej niechętnie do zawodów technicznych i handlowych.

4. NIEZNAJOMOŚĆ ZAWODÓW — WPLYWY SPOŁECZNE

W naszych rozważaniach nad sugestią autorytetów przy wyborze przedmiotu studiów ciągle potrącałismy o moment gospodarczy. Czynnikiem ten — przysłowiowa bieda wiejska — odgrywa przy wyborze przedmiotu studiów przez młodzież chłopską bodaj najważniejszą rolę. Młodzież ta bowiem, nie mając często zni-

kad żadnej pomocy, zmuszona często kontynuować studia o własnych siłach musi się liczyć ze swoimi możliwościami i wybierać studia, które trwają najkrócej i są najtańsze. Największą frekwencją cieszyć się więc będą wydziały teologii (mieszkanie i utrzymanie w Seminarium), dalej wydział prawa (możność studiowania w domu wzgl. na prowincji), wreszcie filozofia (możność zarabiania lekcjami).

Na wybór zawodu ma niewątpliwie duży wpływ nieznanomość na wsi wielu zawodów z wyższym wykształceniem. Brak orientacji w tym kierunku objawia również młodzież gimnazjalna, studiując najczęściej w miastach prowincjonalnych. Poza tym stosunki młodzieży gimnazjalnej ze starszym społeczeństwem są na ogół bardzo ograniczone. Zagadnieniem informowania młodzieży gimnazjalnej o różnorodności wyboru zawodu, jak dotąd, poważnie nie zajęła się żadna instytucja. Rzecz dziwna, że do takich nieznanych na wsi zawodów należą zawody, związane jak najściślej ze wsią i mające dla niej duże znaczenie. Należy tu wymienić zawód spółdzielcy z wyższym wykształceniem, zawód agronoma społecznego i t.p., z którymi to zawodami styka się wieś podczas rewizji w spółdzielniach, w Izbach Rolniczych, organizacjach rolniczych. Nie mają one jednak jeszcze ustalonej opinii na wsi, nie są liczne, przysługują one jeszcze swoim autorytetem zawody inne — choć już nie zawsze.

Do poprzednich bowiem motywów i czynników, które dotychczas odgrywały i jeszcze odgrywać najwęższą rolę przy wyborze przedmiotu studiów, dołączają się momenty nowe — natury społecznej, ideowej. Młodzież chłopska, wciągana coraz częściej do organizacji ideowych chce w życiu zawodowym pracować dla wsi i obierać nieraz zawód, który najbardziej jest związany ze wsią. Moment ten odgrywa rolę szczególnie przy wyborze zawodu lekarza, inżyniera-rolnika, spółdzielcy, nauczyciela. Urządzone ostatnio przez związki młodzieżowe wiejskie Zjazdy Maturzystów-Chłopów celem poinformowania maturzystów ze wsi o warunkach i kierunku studiów wyższych wywierają rzecz jasna sugestie w kierunku wyboru zawodów o charakterze społecznym, mających znaczenie dla wsi. Sugestie te robią swoje, tym bardziej, że na zjazdach takie przebiega przeważnie młodzież już zorganizowana względnie utrzymująca kontakty z ruchem chłopskim.

Splot powyższych czynników, a więc motywów rodziców, ich marzenia i ideały, sugestie różnych autorytetów starych czy nowych, a przede wszystkim warunków materialnych są tymi siłami selekcyjnymi, które skierowują młodzież chłopską na poszczególne wydziały na wyższych uczelniach.

5. TAK ZWANE „ZAMIŁOWANIA”

Na wybór przedmiotu studiów przeważający wpływ ma stan materialny studenta. Odnosi się to szczególnie do wydziału prawa. Przy wyborze filozofii większą rolę odgrywa zamiłowanie. Pod „zamiłowaniem” u studentów filozofii należy rozumieć raczej upodobanie do danej gałęzi wiedzy, będące często sugestią nauczycieli z lat gimnazjalnych, niż zamiłowanie pedagogiczne. Jak bowiem wykazują liczne badania i ankiety, procent zamilowania pedagogicznego wśród nauczycielstwa jest bardzo nieznaczny, większy wśród nauczycielek, znikomy wśród nauczycieli. Jak dalej stwierdzają powyższe badania jedną z głównych przyczyn obioru tego zawodu są złe warunki materialne (St. J. Bystron: „Szkoła i społeczeństwo” str. 313 — 315).

Również „zamiłowanie”, określane często jako „powołanie” u studentów teologii budzi pewne zastrzeżenia. Podniesienie się udziału młodzieży wiejskiej na Wydziale Teologii w miarę pogłębiania się kryzysu gospodarczego może być pewnym drogowskazem w krainie motywów obioru tych studiów. Pisze też Prof. Bystron w cytowanym dziele: „rozmaite ułatwienia ciągnęły młodzież ubogą, oczywiście tam, gdzie te ułatwienia były największe, a więc na Wydziale Teologicznym napływ biedoty był największy”.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś” przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII — 1080

Prenumerata „Wsi” wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Wiadysław Blachut

Pochwała nauczyciela

W dzisiejszej Kolumnie: „Szkoła powszechna i nauczyciel” zamieszczamy dwa uzupełniające się artykuły. Artykuł W. Blachuty zwraca uwagę na kilka w historii szkoły ludowej spraw: 1) Po państwowości gospodarczej niezależność wzmaga ambicję chłopów do oświaty jako drogi do nowego, wyższego osiągnięcia gospodarczego. 2) Autor podkreśla doniosłość szkoły jako instytucji. Trzeba ją widzieć jako pewnego typu instytucję i dopiero z tego tytułu rozmiar jej społecznego wpływu, nie samej oświaty a instytucji oświaty. 3) Dlatego tak silnie akcentuje rolę nauczyciela, to nie prywatna — filantropijna osoba, ale wykonawca i wyraziciel zadań instytucji. 4) Tej instytucji przypisuje Blachut przejście wsi od roli „bezdarnego tłumu” do roli „świadomych obywateli” po Wielkiej Wojnie. 5) Tej instytucji rozwoju organizacji młodzieżowych (instytucja — szkoła ułatwia zaistnienie instytucji — Kół MW). 6) Tej instytucji — godność, jaką zachował chłop podczas okupacji.

Autor być może szkole przypisał za wiele, takie wrażenie robi częściowo artykuł, bo brak w nim — innych instytucji na wsi. Dopiero w porównaniu można by widzieć doniosłość szkoły. Warto, żeby się ktoś tego zadania podjął. W szczególności: szkoła — kościół — jarmark — kół — gmina — spółdzielnia.

Ale, mimo zastrzeżeń, artykuł Blochuta uczy przekonywująco rozumieć szkołę jako instytucję, i z kolei, rozumieć, że rozwój wsi idzie może tylko przez powiększenie się na jej terenie instytucji.

P. Ch.

SAMORZUTNA AMBICJA ZDOBYCIA OŚWIATY

W imię prawdy historycznej musimy stwierdzić, że zrozumienie ważności oświaty wśród rzeszy chłopskich ujawniło się wcześniej niż sprawy te stały się przedmiotem szerokiego zainteresowania czynników państwowych zaborczych czy własnych. Musimy uzmysłowić sobie, że niezależnie od nieśmiałości i ostrożnej inicjatywy ludzi ze dworu i z miasta, po zniesieniu państwowości chłop samorzutnie i w skali powszechnej usiłuje za wszelką cenę przebić mur graniczny między wsią, spowitą w mrokach analfabetyzmu i zacofania, a zakletym dotychczas dla niego jasnym światem panów ze dworu i z miasta, uzbrojonym w zakazy i niedostępny dla chłopów arsenał kultury materialnej i duchowej. Przez zniesienie państwowości usamodzielniony gospodarczo, pragnie również na odcinku kulturalnym — oświatowym posunąć się wyżej, uniezależnić od dworu, a najzdolniejszym z pośród męskiej młodzieży wiejskiej zapewnić inną, lepszą od chłopskiej dolę w mieście. Te szlachetne pionierskie porywy chłopskie ilustruje najlepiej stara naiwna ballada wiejska o chłopie, który uszczupla swoją substancję majątkową, sprzedaje dwa woły, aby syna posłać do szkół i stworzyć mu warunki bytu choć w przybliżeniu podobne do tych wśród jakich żyje panowie we dworze. W marzeniach swoich nie idzie za daleko, a nawet nie wychodzi poza obrys wsi. Pragnie tylko aby syn jego stał się „uczonym człowiekiem” i „umieścił się” przy dworze lub został księdzem, a więc zdobył uczoność i użyteczność dla dobra wsi. Jakkolwiek w konkretnym wypadku spotyka go zawód, bo „uczony” syn wyrzeka się wsi i wsiąka w miasto, to jednak w jego ślady pójdą z czasem drudzy, a młodzi synowie chłopscy, choćby — jak ten z ballady — zagubili się później w mieście, w okresie świat i wakacji szkolnych będą przekazywać chłopom zdobytą w mieście wiedzę i obyczaje i staną się pionierami rozwoju kulturalnego wsi.

W tym okresie już nie pojedynczy chłop, ale cała gromada wiejska postanawia wyrugować analfabetyzm ze wsi, pragnie udostępnić swym dzieciom (nie wyłącznie synom) słowo pisane, z ich ust usłyszeć treść tajemniczych „gazyt” jakie w ostatnich dziesiątkach ubiegłego wieku coraz liczniej docierały pod strzechę, do rąk bezradnego chłopca.

W czasie, gdy zaborca nie wykazuje dla tych dążeń chłopskich jak najmniejszego zainteresowania a towarzyszą oświatowe w rodzaju „Macierzy Szkolnej”, „T.S.L.” i inne jeszcze nie powstały do życia lub nie dotarły na wieś, gromada z własnej inicjatywy, bez oglądania się na dwór, powołuje do życia szkołę i kontraktuje dla niej nauczyciela. „Szkoła” mieści się zwykle w najobszerniejszej we wsi izbie chłopskiej, a pierwszym nauczycielem jest wędrowny bakalarz, później miejscowy organista, rzadziej ksiądz lub jakiś, wytykany w swej sferze chłopoman ze dworu.

Była to początkowo szkoła sezonowa, czynna w zimie, a skupionym w niej dzieciom wiejskim przekazywała tylko znajomość sztuki czytania i pisania. Za jej sprawą zaczęło wyrastać na wsi młode pokolenie chłopskie, które umiało w pełni ocenić wartość i praktyczną użyteczność szkoły dla rozwoju i przyszłości wsi.

Szkoła na wsi

SZKOŁA I NAUCZYCIEL

W tej atmosferze powołana później przez zaborcę na wsi do życia szkoła ludowa i zawodowy nauczyciel ludowy mieli już ułatwione zadanie. Garnące się do nauki gromady chłopskich dzieci rozsadzały ciasne ściany drewnianej izdebki szkolnej. Powstają nowe, nierzadko murowane budynki szkolne, powiększają się szeregi nauczycieli ludowych i wchodzi odąd na zawsze w życie wsi, rozpoczynając wśród chłopów swe szczytne posłannictwo. Nie tylko poprzez dzieci chłopskie, ale także w bezpośrednim zetknięciu ze starszymi wiejską, wywierają na życie wsi prze-możny wpływ. Budzą wśród chłopów świadomość narodową i społeczno — polityczną, rozwijają czytelność. W ten sposób zakładały podwaliny gospodarczego rozwoju wsi i stawiały pierwsze zręby oświaty i kultury wśród chłopów. W pierwszym, wyzwolonym z analfabetyzmu pokoleniu dzieci chłopskich wykrywają najzdolniejsze jednostki, przełamują niewielkie zresztą opory rodziców i pierwszą awangardę chłopską wysyłają po naukę do miasta. W ten sposób rozpoczynają proces przenikania wartości wiejskich w miasto i odwrotnie, który aż do wybuchu pierwszej wojny światowej z roku na rok przybiera na nasileniu. Rządy zaborcze z wia-domych powodów nie aprobują rozszerzenia w ten sposób misji kulturalnej nauczyciela ludowego. Zawód nauczycielski w hierarchii urzędniczej traktują na ostatnim miejscu, a ich posłannictwo starają się ograniczyć do ciasnego zakresu nauczania dzieci chłopskich czytania i pisania, aby w statystyce europejskiej zmniejszyć liczbę analfabetów polskich.

Za sprawą nauczyciela i szkoły ludowej z wybuchem wojny światowej w 1914 r. chłop wraz z całym narodem polskim odczuwa i rozumie, że ta wojna ludów przyniesie Polsce wyzwolenie, jedność i samodzielną. Szkoła i nauczyciel ludowy utwierdzają go w tym jeszcze mocniej, a nadto organizują i przygotowują go do spełniania zadań społeczno — politycznych w górnictwie sił mającej Ojczyźnie. Wbrew zasadzie, że „inter arma silent musae” w tym właśnie czasie, tam gdzie nie doszedł huk wojny i jej bezpośrednie następstwa powstają na wsi pod przewodnictwem nauczycieli ludowych, kółka samokształceniowe, czytelnie ludowe i amatorskie kółka teatryków ludowych.

Wprawdzie przez powołanie nauczycieli mężczyzn do szeregów i obsadzenia wsi nauczycielskim elementem kobiecym z miasta procesy te w niektórych miejscowościach przebiegały ruchem wahadłowym, ale na ogół, w tym okresie wieś zarówno na odcinku społecznym — politycznym jak i kulturalnym — oświatowym wykazała duże ożywienie.

SZKOŁA NOWOCZESNA INSTYTUCJA AWANSU SPOŁECZNEGO I GOSPODARCZEGO

Przyszedł upragniony koniec wojny, a wraz z nim powstała do życia Polska, w której chłop stanowił 70 proc. ludności. Ta masa chłopstwa to już nie bezzadny tłum wyrobników na pańskim, czy swoim małym zagonem, ale dzięki pracy nauczyciela i wpływom szkoły oraz otarciu się żywiołów chłopskich w czasie wojny o świat i miasto, świadomy swych zadań i celów obywateli, który zdaje sobie sprawę z tego, że jego ciężar gatunkowy w życiu państwowym zależeć będzie od stanu oświaty chłopskiej, że oświata to zasadniczy warunek gospodarczego odrodzenia wsi.

Dlatego też zacieśnia i rozszerza swój zadzierżgnięty w okresie zaborczym, stosunek do szkoły i nauczyciela. Nauczyciel nie tylko uczy dzieci chłopskie w szkole ludowej, ale również prowadzi kursy dokształcające dla dorosłych, odgrywa instruktorską rolę w chłopskich organizacjach młodzieżowych, a przede wszystkim przygotowuje i wprowadza coraz liczniejsze szeregi zdolnej młodzieży wiejskiej do gimnazjów w miastach. Chłop za wszelką cenę chce kształcić swe dziecko w mieście, bo rozumie zagadnienie przeludnienia wsi i rozdrobnienia gospodarstw wiejskich.

Stan czytelnictwa na wsi wzrasta, a materialne podstawy kultury doznają poprawy.

Z nastaniem kryzysu, który najmocniej uderzył w chłopów, opisane procesy ulegają znacznemu zahamowaniu.

Niskie ceny artykułów rolniczych przy wysokich stosunkowo kosztach utrzymania w mieście (mieszkanie, artykuły odzieżowe) uniemożliwiają chłopu kształcenie dziecka w mieście. Z tych samych powodów zaprzestaje on prenumeraty gazety i kupna książek do bibliotek wiejskich, które niszczą i upadają. Wprawdzie szkoła stanowi nadal ośrodek kulturalny wsi jednak nauczyciel przeciążony coraz więcej idącymi z góry zleceniami w duchu biurokratyzmu — sanacyjnym, ma coraz mniej czasu, aby oddać się pracy na niwie oświaty pozaszkolnej na wsi.

Gdyby nie praca organizacji młodzieżowych oraz żywa reakcja chłopskich partii ludowych na eliminujące chłopów do udziału w

razdach zakusy reżimu sanacyjnego — można by okres ten, poprzedzający bezpośrednio wybuch wojny światowej, nazwać okresem cofania się wsi w ogólnym rozwoju.

Pięcioletni okres koszarnej okupacji niemieckiej spowodował jak najcięższe zjednoczenie tych trzech istotnych elementów kultury wsi t.j. szkoły, nauczyciela i chłopca. Ponieważ okupant nalożył ciasny kaganiec oficjalnie uznanym głosicielom oświaty powszechnej w szkołach, nauczyciel rozwijał wszystkie swoje siły, wolę i umiejętność, aby w niedozwolonych przez wroga granicach znaczyć swój udział i swoje posłannictwo w kulturalnym i politycznym życiu wsi.

W tym czasie następuje zbliżenie, a nawet ściśle zjednoczenie między wsi a nauczycielem, który obejmuje tam nie tylko przewodnictwo kulturalne, prowadząc liczne kursy dla dorosłych i przygotowując młodzież do stu-

Jan Marszałek

Jeszcze jedna reforma

Artykuł J. Marszałka wylicza szereg trudności, jakie napotykały dzieci chłopskie w nauce. Nauka wymaga wielu warunków: 1) wolnego czasu, 2) braku zmęczenia fizycznego przed uczeniem się, 3) zdrowia, 4) wielu bodźców kulturalnych, 5) i braku wpływów pozaszkolnych, niwelujących wysiłek szkoły. Oskarżenie Marszałka obraca się przeciw wsi. Nie tylko szkoła prowadzi do „lepszego i głębszego życia”, ale i odwrotnie, życie wsi winno prowadzić do szkoły i przez szkołę. Niezależność gospodarczą i społeczną chłopów skazuje dzieci na wysiłek fizyczny (3 km. — zawierucha), na pracę w domu, na choroby i nieleczenie.

Tradycjonalizm wiejski utrzymuje zwyczaj nadużywania w gospodarce siły roboczej dzieci, oraz niewykorzystanie wpływu szkoły. Jedną rękę pcha dziecko do szkoły, drugą niszczy lub nie daje mu warunków do uzyskania wiedzy. Brak innych instytucji a wraz z nimi większego zespołu bodźców podtrzymujących dziecko w nauce i broniących przed utratą jej zdobytych, to również historyczny obraz wsi do ostatnich czasów.

P. Ch.

OBRAZKI NIEŚIELSKIE

Późna jesień. Po niebie przeciągają bure cielska niskich, kosmatych chmur. Wiatr zacinia od zachodu drobny, ledwie widoczny deszcz. Na podmokłej łące śledzą w kucłki dwie dziewczynki okryte wspólnie jedną chustą. Zdala pasą się dwie krowy. Gdy podchodzą bliżej, dziewczynki nakrywają się jeszcze szczelniej chustką, żeby ich nie poznać pod tym zaimprovizowanym namiotem. Krywają się, choć nie mają powodu. Bo to przecież nie zbrodnia, jeżeli dziecko uczy się na mokrej łące przy jednoczesnym paseniu bydła. Tymbardziej jeśli w domu nie ma czasu, bo trzeba pomóc i ojcu i matce.

Drugi obrazek: nauczyciel w szkole pyta zapłakanego dwunastoletniego chłopaka, dlaczego się nie nauczył kilku zdań tekstu. Nauczyciel ma minę zagniewaną, jest rozdrażniony, bo chłopiec niewątpliwie zdolny nawet, z lekcji na lekcję przychodził do szkoły nieprzygotowany, gdzie tu może być mowa o wypełnieniu programu szkolnego? Po długiej chwili chłopiec poprzez łzy tłumaczy się że „tata wziął go wczoraj ze sobą do młyna, a jak przyjechali było już ciemno, i nie-mogłem się uczyć”.

W trzecim wypadku dziewczynka wybitnie zaniebdana w lekcjach tłumaczy się, że nie może się uczyć, bo mama jest chora i musi być stale przy niej. Na to wstaje jakiś usłużny przyjaciel z tej samej co ona wsi i tłumaczy nauczycielowi, że Maryśka cały czas się bawi z dziećmiaki mi koło domu, a mamy pilnuje jej siostra”.

Obrazek czwarty: Okropny dzień zimowy. Nie ma mrozu, ale zato straszne wiatrysko nasiałe deszczem zaczyna z ogromną siłą od północy i zachodu, drogi rozmiękły, nie do przebycia. W klasie pustki, a połowa dzieci kaszle, że głos nauczyciela niemal nie dociera w tym gwarze do uszu dziecięcych. Takie obrazki możemy mnożyć w nieskończoność. Wszystkie one dają się określić jednym słowem: mankamenty kształcenia nowych pokoleń chłopskich. Wady zasadnicze. Są i w miastach usterki organizacji szkolnej, ale nigdy w tak ogromnym nasileniu. Do tego dochodzą i inne, np. brak całkowity wybitniejszych sił nauczycielskich, odstraszonych gorszymi warunkami pracy na wsi.

STWIERDZENIA PIERWSZE: DROGA I RODZINA

Przytoczone w tym artykule przykłady mają za cel objaśnić laików i tych, którym leży na sercu dobro wsi, a poprzez nie, dobro Państwa, że stan oświaty na wsi mimo pozorów, że coś się dzieje, posiada olbrzymie braki i właściwie nie wiele pod tym względem poprawiło się na wsi od „dobrych sanacyjnych czasów”. Bo różnica zaszła tylko zewnątrz. Tam, gdzie szkoła mieściła się przed wojną w jakiejś nawpół rozwalonej budzie, dziś mieści się w porządnym całkiem budynku dworskim. Sama zmiana budynku szkolnego to bardzo dużo, ale jeszcze nie wszystko. Trzeba usunąć i inne mankamenty szkolnictwa wiejskiego. Dotychczas jest ono zorganizowane tak samo jak szkolnictwo miejskie. Choć warunki lokalne w obu wypadkach przedstawiają się całkiem ina-

diów gimnazjalnych, ale nierzadko kierule tam ruchem oporu wobec zarządzeń okupanta i stoi na czele tajnych organizacji wojskowych.

Musimy przyznać, że jego postawa przyczyniła się w znacznej mierze do tego, że — wbrew życzeniom wroga — chłop w okresie okupacji zachował swoją godność, a wieś wkroczyła w prógi wolności z dostatecznie naświetlonym horyzontem myślenia obywatelskiego.

Również dziś, w trudnym i ważnym okresie odbudowy i przebudowy społeczno — gospodarczej Narodu i Państwa oraz zapowiadanej reformy szkolnictwa powszechnego, nauczyciel ludowy staje w jednym szeregu z chłopem. Wśród najcięższych warunków materialnych obejmuje swój posterunek w szkole ludowej i z wiarą w lepsze jutro przystępuje do pracy kulturalno — oświatowej na wsi.

Chodzi tu o odległość miejsca zamieszkania dziecka od szkoły. Obwód szkolny na wsi obejmuje teoretycznie teren o promieniu 3 km. Praktycznie, ze względu na małą ilość nauczycieli, niektóre dzieci mają do szkoły 4 km. drogi i więcej. Taki stan w warunkach miejskich nigdy jeszcze nie istniał. Złe warunki atmosferyczne w mieście nigdy nie dadzą się tak bardzo dzieciom we znaki co na wsi. Straszna wichura, deszcz, czy mrozy nawet nie dadzą się w ten sam sposób we znaki dziecku idącemu przeciętnie jeden kilometr do szkoły po twardym bruku, czy chodniku między wysokimi domami, niż taktemu samemu dziecku idącemu 2—3 kilometry do szkoły wśród wichru na otwartej przestrzeni po rozmiękłym gruncie gliniastej drogi, lub wśród śnieżycy, czy mrozu. Nie więc dziwnego w porze specjalnie niesprzyjającej takim „wędrownikom” do szkoły jak późna jesień, czy wczesna wiosna, połowa dzieci nie przychodzi do szkoły. Nie tak dawno zanotowałem wypadek śmiertelny. Dziecko przebiegło się widocznie w drodze do szkoły, dostało zapalenia stawów i po kilku dniach umarło. To jest pierwszy przypadek: trudność dostania się do szkoły.

Teraz drugi: złe warunki dla uczenia się ogółu dzieci w domu. Nie przesadzę jeżeli powiem, że 70% dzieci w wieku szkolnym nie może odrabiać swoich lekcji, nie może utrzymać sobie usłyszanego w szkole wiadomości, z tego prostego powodu, że mają inne zajęcia w domu. Dzieci muszą pracować. Nawet wtedy, kiedy ojciec wyciągnięty na ławie 6mi se najspokojniej papierosa, dwunastoletnie dziecko, ze swoim nieco starszym bratem musi urządzić szezki. Nie chcą bynajmniej twierdzić, że gros pracy koło domu, czy nawet w polu spoczywa na barkach młodocianych. Ojciec i matka też mają zajęcia dość, bowiem w gospodarstwie zawsze się znajduje jakaś robota, ale twierdzą stanowczo, że większość młodocianych, zbyt szybko zaczyna pracować fizycznie i to nierzadko nad siły. I gdzie tu działa ustawa o zatrudnieniu młodocianych? Czy można się spodziewać, że dzieci wychowane w tych warunkach wyrosną na pełnowartościowych obywateli?

STWIERDZENIE TRZECIE.

Wiadomo w jakich warunkach higienicznych żyje nasza wieś. Brak zrozumienia dla higieny osobistej jest przyczyną wielu chorób, które przede wszystkim atakują organizm dziecka, jako mniej odporny niż organizm dorosłego. Brak opieki lekarskiej dopełnia resztę. Nic więc dziwnego, że przez pewien czas jakaś epidemiczna choroba przykuwa do łóżka połowę dzieci ze szkoły. I gdzie tu może być mowa o jakiegokolwiek nauce. Zbyt troskliwa matka nie pozwoli nierzadko dziecku iść do szkoły z obawy przed urojeniem nierzadko niebezpieczeństwem choroby, w innym wypadku zaś niedopatrznie (trudno, nierzadko nawet najtroskliwsza matka nie jest lekarzem) wyśle dziecko do szkoły z małym może widoczną gorączką. Podróż do szkoły zrobi jednak swoje i tam, gdzie jeszcze wczoraj nikt nie podejrzewał choroby, jutro może zaistnieć stan zapalny i groźba poważnej, nierzadko śmiertelnej choroby. A więc brak opieki lekarskiej staje się krzywdą dla młodego pokolenia, które ma prawo do społeczeństwa wymagającego tej opieki.

STWIERDZENIE CZWARTE: RODZINA I ŚRODOWISKO

Ktokolwiek miał bliższą styczność ze wsią napewno spotkał się z wpływami wychowawczymi, które oddziaływały na duszę dziecka. I tutaj znowu małe zastrzeżenie, że nie będzie się to odnosić do całej ludności wiejskiej, ale większość rodziców — chłopów nie stoi bynajmniej na poziomie moralnym i intelektualnym tak wysokim, by można im było powierzyć wpływanie na kształtowanie charakteru i światopoglądu dziecka. To jednak, a drugie, że jakiś procent rodziców nie najmnij się o to nie troszczy. W tych warunkach praca wychowawcza nauczyciela na wsi nie przyniesie żadnego skutku. Bo co z tego, że nauczyciel w szkole będzie tłumaczył dzieciom, że kradzież to rzecz niemoralna, kiedy dziecko w domu dostrzeże realne korzyści z kradzieży. Ta konkretna korzyść jasniej przemówi do umysłu dziecka, niż najbardziej moralne pogadanki. Kie-

(Dalszy ciąg na str. 8-9)

Adolf Olechnowicz

Z trudu naszego i znoju

Olechnowicz jest naszym dobrym znajomym. Interesował się przed wojną Uniwersytetami Ludowymi. Pisał o nich i we „Wiś”, widzieliśmy go ostatnio na Kursie Kierowników U.L. czytał również uważnie nasze artykuły o „Wiś” i U. L. i wyniki tej lektury możemy śledzić w poniższym artykule. Przedstawia w nim swoją wieś. I czuje się już w obowiązku zaprezentować gospodarzowi wkład Koła Młodzieży, że był... Bardzo to dobrze. O to nam właśnie idzie. Olechnowicz, który nie zapomina i na ten temat teraz mówić ilustruje specyficzną przemianę w młodym pokoleniu. Problematyka **gospodarczo-techniczna**, problematyka cywilizacji **stała się dziś obowiązująca** w dojrzałym myśleniu społecznym działaczy chłopskich, nawet... **oświatowców**. Signum temporis...

Ale Olechnowicz nie wyrzekł się jeszcze dostatecznie starych nawyków. Wydaje się jakby spłacał dług „modzie” a „sercem” i główną pasją wracał do estetycznych zagadnień po staremu centralnych w młodym pokoleniu wielkim. Łatwo to sprawdzić, ile miejsca i wagi przypisuje dożynkom („piękne, nastrojowe”, „wzrostowe”, „wzrostowe”).

A jeszcze i w inny sposób. Olechnowicz nie daje socjologicznego typu opisu wsi. Nie wiemy, jaka gleba, jaka ilość gospodarstw i ich wielkość, oddalenie od miast, na uboczu czy na głównych arteriach, nie podkreśla, że ta wieś tkwi w okolicy o najwyższym ruchu wiatrowym, nie pokazuje jakiejś, i jak długo docierały tu wpływy Związku i inne? Mówi o nowym dziele po wojnie: **domu ludowym** z pięknymi pochodzącymi (tradycyjnie) z... przedstawień (zamożność czy nawyk?) A nie mówi, czy powstała spółdzielnia Z. S. Ch., a jeśli nie, dlaczego? Nie mówi czy wieś wzięła udział w parcelacji, jak? Choć jeśli „wieczny komornik Zula postawił sobie w ciągu jedne-

I. WŚRÓD ZGLISZCZ I RUMOWISK WOJNY

Było wczesną wiosną 1945 roku. Front przesunął się gdzieś het aż po Berlin. Polska wyzwolona. Po przeszło pięcioletniej tułaczce po świecie, wracaliśmy do rodziny, żeby się z nią połączyć.

Po miesięcznej podróży idę przez pola powiatu jasielskiego. Straszny widok. Co krok zgliszcza i rumowiska. Nie rzadko, na miejscu dawnych, dużych wiosek widzę sterczące żałobnie kolumny okopanych kominów, zwąły na fundamentach niedopalonych głowni, rumowiska rozbitych pieców, szkielety sparaliżowanych bolesnie stodoł, które, jeżeli i ocalały cudem od ognia, to zostały żywym bezlitośnie odarte z szalunku i dachu.

Spotykam i wsie nie zniszczone, na pozór nie tknięte, na pierwszy rzut oka takie same, jak były przed wojną. Niestety, to się tak tylko wydaje, bo wcale one nie są takie same, jak były kiedyś. Zabudowania zostały, ale potargano im trzewia. Hitlerowska bestia w ostatnich konwulsjach przed skonaniem rabowała wszystkie krowy, świnie, konie, wozy, zboże. Toteż pusto tu i żałobnie. Inwentarz całej wsi policzysz na palcach jednej ręki. W niejednej zagrodzie i ludzie nie wszyscy: stąd poszli do batalionów chłopskich i jeszcze nie wrócili, stąd Niemcy wywieźli do obozów koncentracyjnych — może wrócić, a stąd żandarmi niemieccy aresztowali za sabotaż i za współpracę z oddziałami leśnymi i publicznie rozstrzelali — nie wrócić... zostali rodzice, żony, dzieci — bez nadziei, radości i szczęścia.

Idę dalej. Śpieszę do wsi Potakówka. Pytam o najkrótszą drogę — miedzami, na przelaj, przez pola, byle przedzi. Ale ludzie mi z całej siły doradzają, abym się nie wazył zejść z drogi, bo dookoła pola zaminiowane, na każdym kroku czyha śmierć. W jednej wsi tylko w ciągu paru miesięcy było kilkanaście wypadków śmierci lub strasznego pokaleczenia od min. Idę tedy drogą, wpatrując się jeno z daleka w te rozległe dookoła pola, najadowane jeszcze śmiercionośną wojną.

A oto i Potakówka...

Radość! Żona, dzieci, rodzina — żywi i zdrowi... Pięć lat niewoli, cztery ostatnie miesiące na samej linii frontu, cztery miesiące pod gradem pocisków, w wilgotnych schronach o głodzie i chłodzie... Przetrzymaliśmy. W chwili rozstania córeczka miała trzy latka, a synka jeszcze nie było; teraz Kryśka jest ośmioletnią już dziewczynką, a Henio ma pięć lat — nie ma siły ni mówić, ni patrzeć...

Szczęście — mówią — wielkie szczęście miała Potakówka. Wielkie szczęście, bo chociaż oto na podwórku wala się roztrzaskana armatnią pociskiem stodoła i stajnia, to dom został (tylko dach i ściany podziurawione kulami), bo domów rozbito we wsi tylko kilka, bo tylko czworo ludzi zostało zabitych podczas walk oddziałami, bo, chociaż Niemcy zdążyli zrabować konie, bydło i zboże, to jednak kilka krów, koni i trochę ziarna udało się we wsi cudem uratować. Bo chociaż pola są straszliwie spłądowane, to jednak tu i ówdzie zielenią się za-

go roku zgrąbną domek — to chyba po otrzymaniu z Reformy ziemi? Brak tych wiadomości ma swoje znaczenie: 1) nie ważne jest tylko, że się „coś zrobiło”, ważny jest układ warunków, (gospod. społecz., kult. itd.) bo tylko w odniesieniu do niego można ocenić wymiar i wartość osiągniętych rzeczy, albo to bardzo dużo i właściwie, albo mało, i niewłaściwie. 2) Czy od domu ludowego należało zaczynać? i czy poprzez przedstawienia? Czy właśnie od gospodarzów inicjatywy spółdzielczej? I z jej dochodów i z jej stałej bazy ekonomicznej budować w odpowiednim etapie dom ludowy? 3) Olechnowicz śledzi jednostkowy, izolowany wysiłek chłopów odbudowujących się — i jest zadowolony. A bardziej winien skupić uwagę na **społecznym**, dla wzmocnienia indywidualnego.

Jeżeli Wiśniewski wystawił sobie dom „według planu wzorowej zagrody”, to skąd wziął ten plan? Czy to wypadek indywidualnego powiązania się z dorobkiem od góry idącym naszych architektów z prof. Płascikiem na czele w ramach planowania odbudowy wsi?

To jest nowość — ten wysiłek wielkiego zespołu architektów planujących **chłopskie zagrody i domy** i wiele w tym rzędzie jest **innych**. Jakże na wsi jest zorganizowane społeczne powiązanie się z fachowcami, wielostronna pomoc? To nie prawda, że chłop „obsiewa” grunt od miedzy do miedzy... odbudowuje jednocześnie całą Polskę. To za mało i to źle dla niego samego a przez to i dla Polski. Oczywiście, przedstawienia temu nie pomagają. Jakże nowe instytucje, jakie organizacje, jakie poszukiwania społeczne gromady występują po wojnie? Nad tym winien młody działacz myśleć, powinien projektować, doradzać, według nich działać i błędy i braki krytykować.

J. A. K.

gony żyta i pszenicy sianej jesienią z ryżkiem zycia, a teraz już można będzie w polu robić, bo min prawie nie ma. Szczegół — jak bardzo względna to rzecz. Szczegół — uważa się Potakówka mimo tych ciężkich razów wojny dlatego, że obok niej w wioskach sąsiednich jak: Umieszcz, Sądka, wa i inne zostały jeno popioły, a na polach — gęsto rozsiane, utajone miny, które mordują niemilosierdzie każdego, kto próbuje rodzony swój zagon uprawiać.

II. „WICI” PŁONĄ NA NOWO

Jak mrówki, gdy się im gniazdo rozwali, rzucają się od razu, żywiołowo do naprawy mrowiska, tak i chłopcy potakowscy od razu, nie czekając, aż huk oddalających się bomb umilknie, rzucili się wszyscy do odbudowy swoich gniazd — rodzinnych zagrod i zagonów, a jednocześnie do pełnego rozplanowania gromadzkiego życia i społecznej pracy całej wsi — swojej najbliższej, chłopskiej ojczyzny. Z każdym dniem życie społeczno-kulturalne pulsowało tu coraz żywym tempem, a sercem tego pulsowania było i jest Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici”.

Koło Młodz. Wiejsk. w Potakowce, ma za sobą piękną tradycję. Powstało ono kilkanaście lat przed wojną. Oprócz pracy kulturalno-oświatowej, interesowało się ono żywo zagadnieniami gospodarczymi wsi, oprócz czytelnictwa książek i gazet, oprócz widowisk teatralnych, zajęć świetlicowych, zajmowano się tu przysposobieniem rolniczym, spółdzielczością, wreszcie założono szkołę drzew owocowych. Dzisiaj, tak w Potakowce, jak i w okolicznych wsiach, spotykamy w każdym gospodarstwie młode drzewa owocowe — pochodzą one właśnie z tej szkoły. Mimo, że drzewka ze szkoły KMW sprzedawano po cenach bez porównania niższych od cen rynkowych, dało to i tak wcale pokazy przychód. Większość dochodu przekazała KMW na budowę murowanej szkoły powszechnej w Potakowce. Budowę szkoły skończono przed wojną, a dziś uczą się tam już dzieci pierwszych członków KMW.

W czasie okupacji KMW w Potakowce przeszło w podziemia — zanurzyło się w konspiracji, żyć więc nie przestało: jak mogło podtrzymywało na duchu społeczeństwo, a gdzie się tylko dało — sabotowało wroga.

Po wypędzeniu okupanta, KMW w Potakowce ożyło natychmiast i od razu z wielkim zaczęło pracować rozmachem. Zebrało ukrywane przed okupantem książki i uzupełniono bibliotekę, zaprenumerowano czasopisma, rozpoczęto pracę świetlicową... Poza tym KMW organizowało okolicznościowe obchody i akademie w swojej wsi, jak też brało czynny udział w uroczystościach w Jaśle.

Najważniejszą i najsilniejszą pracą, którą KMW w Potakowce przeprowadziło, to budowa Domu Ludowego.

Było to tak...

Stary dom społeczny, zbudowany ongiś wspólnym wysiłkiem wsi, był za niski, za mały, wewnątrz niewygodnie rozplanowany, a w czasie wojny bardzo zanieczyszczony. Członkowie KMW urządzili dom ten rozebrać, dokupić budulca i zbudować nowy. Jak urządzili, tak i zrobili. Nowy dom ludo-

wy stanął. Większość pracy przy budowie, jak zwózka budulca z lasu, furmanki do tartaku, zwózka szutru na fundament, pomoc przy budowaniu itp., wykonywali członkowie Koła sami, kolejno — oczywiście bezpłatnie. Nie wszystko jednak dało się zrobić własnymi rękami. Trzeba było wynajmować fachowców i opłacać: roboty ciesielskie, stolarskie, kupno gwoździ, desek, cegieł, cementu, szkła, okuć okiennych i drzwiowych itp. Potrzebny był na to poważny kapitał, KMW tym się nie zrażało, nie oglądało się na subwencje, tylko wszystkiemu radziło własnymi siłami. Najpoważniejszy dochód przyniosły przedstawienia, z którymi objeżdżali okoliczne wsie i gminy. Ale Wiciarze z Potakówki nie zapominali ani na chwilę i o ważnej swojej roli — pionierów oświaty, kultury i postępu wsi. Toteż, chociaż pieniądze na budowę domu ludowego były im bardzo potrzebne, nie ograniczali się tylko do płatnych, dochodowych przedstawień, przeciwnie — urządzali dużo imprez bezpłatnych jak np. sobótki świętojańskie 24 czerwca, jak doroczne gromadzkie dożynki...

Na dożynkach tych w roku ubiegłym byłem w Potakowce. Było to coś wspaniałego!

Ludu zeszło się moc... — ze wszystkich stron... Czekają na wszystko na wolnym powietrzu, na placu wysadzonym brzoškami. Żadna sala nie mogła by tyle ludu pomieścić. W rogu tego placu, przed szkołą, na metr ponad ziemią, bieli się nowa podłoga o powierzchni chyba ze stu pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Na tej podłodze ma się odbyć uroczysty obrządek dożynek, potem widowisko teatralne, w końcu zabawa taneczna. Siedzi już tam wybrany gospodarz dożynekowy w otoczeniu starszych gospodarzy wsi. Czekają...

Idą!... Zawołali jakiś podrostek. Idą... idą... — zagadał nierówno tłum, zakolywał się i pochylił ku ulicy, którą z poza wioski nadchodził orszak: na czele kapela wiejska, za nią — gromada dziewcząt w barwnych krakowskich strojach z wieniec dożynekowym, za nimi zastęp chłopców z umajonymi kosami... Płon niemiemy, płon!... — rozlega się szeroko pieśń. Po sześciu latach trudów i niewoli, dziś po raz pierwszy... „Płon niemiemy, płon!”... Lzy wielkiego szczęścia i radości grochem z oczu się toczą, coś ściska za serce... Tłum nie wytrzyma — tworzy się jeden ogromny orszak, jeden potężny chór... „Płon niemiemy, płon!”... Wchodzą na podium. Cisza... Składają wieniec gospodarzowi. Przewodnicza przemawia. Gospodarz dziękuje, daje przestrogi i wskazówki na przyszłość, życzy szczęścia w dalszej robocie. Część obrzędowa, nie wiedzieć kiedy i jak, przechodzi w piękne, nastrojowe widowisko teatralne. Oto wzniosła inscenizacja „Błogosławiona dobroć człowieka”, oto mocna, porwująca recytacja zbiorowa „W chłopskie żniwa”, za tymi — inne, jedno od drugiego piękniejsze, jedno z drugiego wypływa i ładnie się wiąże. Powoli nastrój poważny przechodzi w wesoły. Inszenizacja „Maciek”, rozbraja — publiczność śmieje się do rozpuku. Wreszcie siarczysty mazur po tym krakowiak z aktualnymi przyspiewkami kończy widowisko teatralne, a rozpoczyna zabawę ogólną. Widowisko trwało około trzech godzin, a wydało się — niemal chwilą. Każdy bowiem śledził z zapartym oddechem, każdy przeżywał. Tyle przeżyć rzadko daje teatr ludowy, tyle piękna rzadko zawiera sztuka zawodowa — ile go było w tym obrzędzie dożynekowym, w tym widowisku teatralnym, w tym samorodnym teatrze ludowym z pieśni, zwyczajów i tańca.

Charakterystyczną cechą życia i pracy KMW w Potakowce jest zupełna samodzielność. W Kole tym nie widzi się jednostki, jakiegos patrona, który by robotą dowodził wokół któregoby życie i praca Koła wirowały. Zresztą samodzielność, to cecha kół wiciowych w ogóle. Tak więc i w tym kole widzi się ciągle zgraną całość. Inicjatywa wychodzi ze środka, od samych członków i oni sami ją realizują. Wydaje się, że prezes i zarząd nie są tu „władzami”, tylko po prostu stanowią przód, są tu tym, czym pierwsza czwórka w wojsku. I tak, jak w wojsku, czy się w pierwszej czwórce znalazł ten, czy inny, kolumna do niej równa i zgodnie maszeruje naprzód, tak w KMW w Potakowce, niezależnie od zmian w zarządzie, młodowiejski marsz bezustanku trwa. Prawda, że wsie, które dźwigają się zupełnie samodzielnie, wyłącznie własnymi siłami, podnoszą się wolno, ale za to podnoszą się pewnie i nic ich nigdy nie zdola powalić. Wsie takie mają pewną i piękną przyszłość — ma ją i Potakówka.

III. CHŁOP I NAUCZYCIEL — SPOŁEM

Przed dwoma tygodniami, po roku niewiedzenia, odwiedziłem Potakówkę znów. Jakaż

zmiana, jaka pocieszająca inność, jaka wspaniała odnowa... I w polu i we wsi niemal jak ongiś, jak przed wojną. Role oczyszczone, zrównane, obsiane. Budynki wyreperowane lub odbudowane. Oto u Władka Wiśniewskiego, na miejscu kupy łomu z rozbitej stodoły i stajni, stoi nowy, zgrabny budynek, ustawiony w innym już miejscu, według planu wzorowej zagrody, z uwzględnieniem praktyczności, higieny, estetyki. Ten młody gospodarz zaciskał pas, odmawiał sobie wszystkiego, żeby jak najszybciej zagoić rany gospodarstwa. Postanowił przy tym odbudować nie byle jak, tylko jak najlepiej — po nowemu.

Oto Biernacki, mimo straty córki, którą mu pocisk rozszarpał, nie zalałam się. Z wielkim bólem w sercu — zacisnął zęby, zakasał rękawa i na miejscu strzaskanej chałupy swojej postawił własnym trudem piękniejszy dom niż był tu poprzedni. Tak samo Biernacki inni, podobnie leśny Smyka, nie inaczej — Styś. A wieczny komornik Władek Lula na Zakaczu w ciągu jednego roku potrafił też, choć niewielką, ale zgrabną chatkę sobie wybudować.

W stajniach tu też jest inaczej, niż było przed rokiem. Pustych stajen już prawie nie ma: nie krowina, to jałówka, nie jałówka, to koza lub cielisia, ale wszędzie coś jest, chociaż się, rośnie... A tu i ówdzie i po parę sztuk spotkasz. Pewnie że nie jest to wszystko tak jak się widzi — wielu jest zadłużonych.

A jak z życiem gromadzkim społecznym?

A no, podobnie jak z tym, co się nazywa indywidualnym, osobistym. Trudno tu właściwie odróżnić jedno od drugiego, tu nie bardzo wiadomo, gdzie się kończy moje, a zaczyna się nasze.

Dla przykładu przyjrzyjmy się potakowskiej szkole. Oglądałem ją rok przedtem. Była to po prostu ruina: wojna nie zostawiła ani jednej sztachety szkolnego ogrodzenia, grządki i klomby zjeżdżone były jak boisko, ramy okienne połamane, podłoga — jak pospute klawisze, tynk na ścianach i sufitach porysowany i podziurawiony, ani jednej ławki szkolnej — żołnierze wszystkie użyli na opał.

A dzisiaj?

Patrzę i nadziwić się nie mogę: dookoła nowy piękny parkan, za nim kwietniki i zielone grządki ogródków szkolnych. Wnętrze szkoły nowe, czyste, jasne. Są aż dwie klasy — po raz pierwszy w historii tej wsi. Przy tym klasy te, jak na obecne stosunki, zupełnie dobrze umeblowane i ładnie przystrojone. Inspektor Szkolny na remont tej szkoły dał pięć tysięcy złotych — tyle tylko mógł pewnie dać. Jest to oczywiście kropla w morzu w stosunku do tego kapitału i pracy, która została włożona przez chłopów w swoją szkołę.

Kiedy już o szkole mowa, nieuczciwie byłoby przemilczeć olbrzymi wkład trudu, pracy i samozaparcia się obecnych nauczycieli tej szkoły pp. Bilutów. Oddali się oni tej pionierskiej robocie bez reszty. Oprócz pracy szkolnej, przeprowadzili już dwa kursy dokształcające z młodzieżą dorosłą, która przez wojnę nie mogła korzystać z normalnej nauki. Dzięki tym kursom, kilkadziesiąt młodych ludzi z tej i sąsiednich wsi, zdobyło wykształcenie w zakresie siedmiu klas szkoły powszechnej. Poza tym nauczyciele ci biorą czynny udział w pracy KMW i życiu gromadzkim wsi. Iskry oświaty rzucające przez nich widać nie gasną — często są zarzewiem płomieni. W tym roku poszło z Potakówki około 10 do szkół średnich a dwójce do Uniwersytetu Ludowego.

Ile razy bezpośrednio stykam się z pracą nauczycieli, a zwłaszcza nauczycieli szkół powszechnych w głębokich wioskach, ile razy oglądam wspaniałe wyniki tej niezmordowanej pracy, pracy dzisiaj przecież za bezcen, często za upakującą jałmużnę, zaraz staje mi przed oczami krzywdą, jaką się nauczycielstwu czasem czyni, sumarycznie obciążając „Związek Nauczycielstwa Polskiego” winami, które nauczyciela jako klasę zawodową stawiają w przykrym świetle i często podcinają jego bezprzykładny wysiłek *).

Tak to chłop, prostą swoją filozofią wyrozumował, że odbudowywać Polskę, trzeba nie gadaniem, a rzetelną robotą — każdy przy swoim warsztacie pracy: robotnik w fabryce, nauczyciel w szkole, inteligent w biurze, rolnik na zagonie. Obsiewając grunt od miedzy do miedzy, odchowując zniszczony inwentarz, stawiając na nowo własną powaloną zagrodę, dom ludowy, szkołę gromadzką, odbudowuje się jednocześnie i cała Polska.

*) Od red. Sprawy te poddamy jeszcze dyskusji na łamach naszego pisma.

PIOTR: Proszę pana, w kupiectwie obo-
wiązuje tajemnica zawodowa. To jest coś
jak honor, jak słowo. Jeśli klient przynie-
sie, zostawi i ustali cenę, to mnie wolno
sprzedać albo nie...

ON: Więc...

PIOTR: ...zaraz, zaraz proszę pana, mu-
szę panu wszystko wytłumaczyć od a do
zet: wolno mi więc sprzedać albo nie, ale
nie wolno mi powiedzieć, czyj to przed-
miot...

ON: Nawet gdyby to był przedmiot kra-
dziony?

PIOTR (obrażony): Aaa... paniel! Co
pan? co pan?... Jak można?

ONA: Juleczku, dajmy pokój... Chodź-
my!...

ON: Nie, ja nie pójdę. Ja to muszę ku-
pić. Mówił pan pięknie o honorze, o takich
tam słowach kupieckich, ale ceny dwadzie-
ścia tysięcy złotych postawić na te kara-
kuly, to pan ma sumienie? Co? Chciałbym
się widzieć z tą panią, która takie ceny sta-
wia...

(Henryk wygląda drzwiami na ulicę).

JÓZEF: Ta pani proszę pana, albo bę-
dzie dzisiaj, albo nie będzie...

PIOTR: Właśnie... właśnie...

ON: (siada na taborecie): Czekam do
wieczora. Będę tu siedział do rana, dopóki
ta pani nie przyjdzie. Dwadzieścia tysięcy
palto! Pięć tysięcy lis! Ja tej pani powiem!
Mój kolega Zygmunt kupił swojej znajo-
mej...

ONA: Juleczku, chodźmy, daj spokój. Ci
panowie nie mają zamiaru sprzedać. To wi-
dać.

PIOTR (blado): Dlaczego? proszę pani,
dlaczego?

ON: Właściwie — tak. Panowie coś krę-
cicie...

JÓZEF: Dlaczego panie szanowny? Po
czym pan to sądzi?

ON: Tak, panowie coś kręcicie. Gdybyś-
cie chcieli sprzedać, to na moje jedno sło-
wo — frzt — już powinniście podawać do
przymiarki... Może myślicie, że nie mam
pieniędzy? Proszę!

(Ostentacyjnie wyjmując z zanadru pę-
katy portfel na wierzch kontuaru. Piotra
i Józefa objętość tego przedmiotu cokol-
wiek peszy. Henryk milczący wygląda
drzwiami i wraca. Głośny spór wywabia
Zosię — otwiera drzwi i do połowy wychy-
lona milcząco obserwuje całą scenę).

PIOTR: O tym nie ma mowy! Bardzo
przepraszam. Pan jest klientem. Tak. Pro-
szę. Józef, pokaż panu tutaj i lisa. Państwo
mogą obejrzeć... właściwie...

JÓZEF (omija kontuar i wchodzi na
wystawę, zdejmując palto). Proszę pana.

KLIENTKA: O, tak to co innego. Tak
to rozumiam.

(Klienci oboje oglądają tutaj i lisa. Za
oknem ruch, ktoś przebiega. Słychać o-
krzyk: „łapią, uważaj!” Rozlega się daleki
strzał jeden, drugi. Za oknem wciąż ruch,
biegi. Henryk w drzwiach ustępuje Fili,
która wchodzi szybko).

FILA: Dzień dobry! Dzień dobry! Dzień
dobry! Jestem nareszcie. Na ulicy chryja:
łapią, ale od nas dość daleko. Czy paczki
dla mnie nie było, panie Piotrze?

PIOTR: Nie.

FILA: Józefie?

JÓZEF: Nie.

FILA: Panie... Henryku?

HENRYK: Nie, nic nie wiem.

KLIENTKA: Pani mówi, że łapią?

FILA (zimno): Łapią.

KLIENT: Kogo łapią?

FILA (niegrzecznie): Jakto kogo? Ludzi
łapią. Strzelają też.

KLIENCI (zderutowani). Ona: To chy-
ba pójdziemy, Juleczku? On: Więc jak z
tą ceną ostatecznie?...

PIOTR: Niestety proszę pana, pan wi-
dzi (ruchy bierności)...

KLIENCI (zabierają się razem): Dowi-
dzenia!

JÓZEF: Dowidzenia. (wychodzą śpiesz-
nie).

PIOTR — JÓZEF — HENRYK — FILA

FILA: Naprawdę żadnej paczki dla mnie
nie było? Przecież mieli ją tu przynieść...

(Odpowiada jej kilka strzałów jeden po
drugim. Ludzie biegną za oknem. Krzyki:
„uciekać, łapią”, seria strzałów, tupoczą
noży za oknem. Henryk stoi za oknem ska-
mieniał, Piotr w końcu kontuaru. Józef
w drugim końcu przy wystawie, głos: „nie
wyglądać oknami, zamykać drzwi, bo bę-
dziemy strzelać!” Piotr zamyka drzwi na
klucz — frontowe. Zosia znowu w drzwiach
— od tyłu. Słychać łoskot zamykanych
drzwi. Grzmi samochód ciężarowy).

Teodor Goździkiewicz

PACZKA

Fragment z dramatu „Barykada na Chmielnej”

JÓZEF (rozkazując): Aha, samochód —
panno Filu!

(Fila łapie z wystawy srebrne pantofelki,
obuwa, wdziewa położone na kontuarze
palto, wieszka lisa na szyi i wchodzi na
wystawę).

HENRYK: Panno Filu... co robisz?

PIOTR (wyciąga błagalnie ręce): Pan-
no Filu! Panno Filu! To szaleństwo! Tam
śmierć cię może spotkać.

HENRYK: Filu! Filu! Pomyśl!

JÓZEF (namietnie): Panno Filu! Szyb-
ko! Patrzec! Patrzec! I zapamiętać — za-
pamiętać!

FILA (pozuje się w układzie klasyczne-
go modela; nogi, ręce, głowa: patrzy na u-
licę): już wszędzie pusto... na ulicy nie ma
nikogo... samochód stoi w tym samym miej-
scu, co w pierw... Wysiadają żandarmi.
Wszyscy w chełmach! pistolety... Aha! aha!
są — są — są — czterech mężczyzn i dwie
kobiety... ustawiają ich w tym samym
miejscu pod murem, co przedtem... gdzie
te kwiaty ktoś rzucił... wszyscy związani...
obracają ich do muru twarzą... jakiś mę-
czyzna się szarpie... biją go!... Ucieka! u-
cieka! ucieka!... och! (seria strzałów).

FILA: Boże! Leży... zabity!... jak szma-
ta!... Biją, och! jak biją! Żandarmi usta-
wiają się za nimi z rozpylaczami: jeden,
dwóch, trzech, czterech, pięciu... każdy ze
swoim... I naokoło: dwóch, siedmiu, dzie-
więciu... (seria strzałów).

FILA: Ooach!!

(cała seria strzałów, Fila odwraca głowę
w stronę sklepu i obsuwa się na kolana z
nerwowego wyczerpania. Całego sprawa-
zdaną Fili słuchają: Zosia u drzwi, Henryk
przy biurku, Piotr z brzegu kontuaru, Józef
w środku. Słowa modela na każdym inne
wywołują wrażenie: Henryk mięknie, Piotr
się łamie, Józef się pasjonuje: wyciąga rę-
ce, zaciska pięści na tle wierzchu kontua-
ru. Zosia lka).

FILA (rzęzi): Straszne!...

JÓZEF: Panno Filu, spokój!

FILA: Straszne!...

HENRYK: Filu, uspokój się, słyszysz!
Proszę cię!...

PIOTR: Panno Filu! na miłość Boską!...

FILA: Okropne!... Wszystkich razem:
jak się ludzie rzucają po ziemi, jak ryby...
Jeden to jakby ziemię łapał rękami... Stra-
zne! okropne!...

JÓZEF: No, panno Filu, pozbiierać się.
Trudno, psiakrew, teraz są górą, ale... (po-
trząsa mściwie pięściami przed sobą).

HENRYK: Ach, Filu, ty — ty — ty!

PIOTR: Panno Filu! Panno Filu!...

FILA (wolno przychodzi do siebie): Ra-
cja... tak — tak. Racja. Brz!! ohyda... Za-
raz — zaraz, co to? Prawda, moja pacz-
ka!... Czekać panowie! Która to godzina?

(przebiera się).

PIOTR: Dziesiąta.

FILA: Co, dziesiąta! Już idę.

HENRYK: Gdzie? po co? Oszałałaś (za-
biega jej drogę).

PIOTR: Panno Filu, teraz? Pani głowę
straciła. Tam na pewno żandarmów cała
ulica... Złapią panią... Paczka może pocze-
kać.

FILA: Co pan tam wie — paczka nie
może czekać. (Za oknem ktoś przechodzi).
Dajcie panowie spokój. O, już ruch na mie-
ście. Muszę iść. (Roztrząca ich, otwiera
drzwi z klucza, wychyla się ostrożnie, zni-
ka).

PIOTR — JÓZEF — HENRYK

HENRYK: Co ona wyrabia! Co ta ko-
bieta wyrabia!

JÓZEF: Cóż pan chce, panie Henryku,
nic takiego. Potrzeba jej wyjść i wychodzi.
Sześć przecież żeława. Nie?

PIOTR: Tak—tak, moi kochani pano-
wie, tak—tak: z kobietami zawsze tak. Jak
ty gonisz, to ona ucieka, jak ty uciekasz,
to ona goni... Jak ty pozwalasz, to ona nie
chce, jak ty wzbranasz, to ona pójdzie...
O, przekonacie się nieraz, jak dojdziecie do
moich lat.

JÓZEF: A wcale nie będziemy docho-
dzić.

PIOTR (patrzy na niego w zdumieniu,
jakby go pierwszy raz widział): Józef, wy-
stawa. Na gwałt uporządkować. Co za nie-
ład.

JÓZEF: I palto?

PIOTR: I palto.

JÓZEF: I lisa?

PIOTR: I lisa.

JÓZEF: A buty?

PIOTR: Nie udawaj głupiego. I buty
też. Tak, jak było przedtem.

JÓZEF: Dobrze, panie szefie, ale jak się
nam znów napatoczą jacy forsaci klienci,
to co znów będziemy wariatów strugać?

PIOTR: Nie twoja rzecz. To już będzie
na mojej głowie. Nie z takich oparów się
wychodziło. Jestem starszy do ciebie.

JÓZEF: To niczego nie dowodzi. Dziś
wojna. Człowiek albo ginie, albo od razu ro-
bi się mądry za wszystkie czasy.

(Wchodzi starszy klient, zaniedbany,
wojenny naukowiec).

PIOTR — JÓZEF — HENRYK —
ZOSIA — STARSZY KLIENT

KLIENT (onieśmielony): Dzień dobry
panom. Chciałem się dowiedzieć, hm, czy
te... srebrne pantofelki do sprzedania?

JÓZEF (protekcjonalnie): Tak jest; ma
szanowny pan rację — te srebrne pantofel-
ki są na sprzedanie.

KLIENT: Właśnie przechodzę ulicą, pa-
trzę: wystawa tak gustownie ubrana... i te
pantofelki. One naprawdę rzucają się w o-
czy... Zgrabne, eleganckie, a takie skromne.

Czyja to robota, jeśli można wiedzieć?...
PIOTR: Pan ulicą do nas przyszedł?

Jakim sposobem? tam dopiero co była ła-
panka... Co się stało?

KLIENT: Ja nic nie widziałem... Ja tu
mieszkam niedaleko panów... Pod siód-
mym. Tych parę domów... Więc te panto-
felki... tego, właśnie... Ja jestem, rozumie-
cie panowie, emerytowanym profesorem,
więc idę ulicą i te pantofelki...

PIOTR: Pan je chciał kupić?

KLIENT: Właśnie — tego, ja chciałem
się spytać, czy panowie nie mają do sprze-
dania jakich używanych butów... Tak na-
przykład wojskowych, o to są dobre buty,
trwałe, chociaż twarde, ale ja mam jeszcze
zdrowe nogi: ja je zedrę... Niemcy, to oni
sprzedają buty, chociaż krzyczą, że zawo-
jują świat...

JÓZEF: Nie, nie mamy wojskowych bu-
tów... Tylko pantofelki, u nas uważa pan
jest magazyn mód kobiecych. Niech pan
przeczyta napis.

KLIENT: Eee, napis napisem, ale teraz
to w aptekach sprzedają kiełbasę... A może
panowie kupią masło, prawdziwe wiejskie.
Jedna moja znajoma jeździ na wieś i stam-
tąd przywozi masło i sery... prawdziwie
wiejskie... Ser jej się wyciska na plecach z
serwatki, ale to nic — teraz wojna...

PIOTR: Nie, dziękujemy, nie reflektu-
jemy... (za oknami znowu strzały, wrzawa,
tupot, ucieczka, stary klient obraca się bez-
radnie w kółko).

ZOSIA: Do mnie, wyjdzie pan przez in-
ne drzwi na podwórkę...

PIOTR: Ta Fila i nam i sobie nawarzy
piwa. Ja wam to mówię.

HENRYK: Wyjrze.

PIOTR: Niech pan da spokój! Niech pan
nie wywołuje wilka z lasu! Jeszcze nam tu
kto obcy wejdzie i będziemy się martwić.

Albo jeszcze gorzej.

JÓZEF (wychodzi zza kredensu, prze-
mierza cały sklep, staje w drzwiach): Ja-
kiś znowu bałagan.

PIOTR: Wróć, zakazuję ci! Za kontuar!
Tam twoje miejsce! Ja tu rządzę! Co za
samowola! Tyś się zanadto rozpanoszył!
Za nic mnie nie masz!

HENRYK: Panie szefie, niech się pan u-
spokoi. Dziś tacy wszyscy zdenerwowani.
Ta wojna! ta wojna!

PIOTR (w którym złość wybiera, ude-
rza pięścią w stół): Dość tego! Mores!
Smarkacz!!!

JÓZEF: Przepraszam, panie szefie, ale
ja nie jestem smarkaczem. Mam już dzie-
więtnaście lat i skończyłem handlowkę...

PIOTR: Dość! Handlowkę! Magnat!...

JÓZEF: Przepraszam, panie szefie, że się
odzywam... (trzaskają drzwi, wpada Fila,
wzburzona, zdyszana, przerażona, z ciężką
paczka pod pachą).

PIOTR — JÓZEF — HENRYK — FILA

— ZOSIA

FILA: Panowie, ratunku!... Gonią mnie
żandarmi... Ta paczka! Jezus!

PIOTR (łapie nad głową ręce): Aaaa...

nie mówiłem! Nie mówiłem!...

HENRYK: Filu, na Boga, co mówisz!

FILA: Gonią mnie, gonią mnie!...

JÓZEF: Ciit! Spokój! Paczka!

ZOSIA: Tu do mnie! (zabiera i niknie).

JÓZEF: Gdzie panią gonili?

FILA: Ulicą... wpadłam do jednego
sklepu i przez kuchnię, do drugiego i przez
kuchnię... Idą za mną i szukają kolejno...

JÓZEF: Do Zosi i dalej...

ZOSIA: Uwaga! Stój! Żandarmi na po-
dwórku!

PIOTR: O rety, rety, rety!

HENRYK: Aaach!

JÓZEF: Panno Filu: raz-dwa! Na wy-
stawę! Buty... — tak! Palto... — tak! Prę-
dko — spokój! Lis... — tak! Szybko, szyb-
ko... stanąć — uśmiechnąć się! Uśmiechać
się! Panowie, zając się czymś, jak gdyby
nigdy nic! Nie stać jak drągi, prędko! Zo-
sia, śpiewaj! Panie szefie! Panie Henryku!
(Zosia śpiewa tę samą melodię co na po-
czątku).

HENRYK: Nie! Dość tego strachu! Dość
tego wszystkiego! Ja... ich... tu... nie wpusz-
czę!... Nie... niech się co chce stanie! Dość!

(W szale histerycznym wyciąga z kie-
szeni pistolet, podchodzi do drzwi i z go-
towym do strzału pistoletem stoi przy nich
roztrzęsiony).

JÓZEF: Panie Henryku, co pan robi do
cholery!

PIOTR: Pa... pa... pa... nie (porażony
prerażeniem chwytą się za głowę, klęka
przy kontuarze, spazmuje).

JÓZEF: Niech pan da ten pistolet!

HENRYK: Dość! Stać! Kto się do mnie
zbliży, będę w tego rąba! — wszystko je-
dno kto!... Dość tego, mówię...

(Słychać ciężkie kroki podkutych butów
po chodniku, zamierają wszyscy. Zosia
śpiewa. Przez chwilę nic, tylko te kroki i
ten śpiew. Na tle drzwi rysuje się stereoty-
powo ubrany patrol niemiecki, mija je, pa-
da na tło okna, jeden żołnierz zerka na mo-
del — przechodzą).

JÓZEF: Przeszli!

PIOTR: Przeszli!

HENRYK: Przeszli!

FILA (zeskakuje z wystawy, podbiega
do Henryka, wymierza mu policzek): co
pan za świństwo wyrabia, co? (rewolwer
pada na ziemię).

JÓZEF (podnosi broń i chowa). Ach,
panie Henryku, byłby pan nam narobił bi-
gosu! Do diabła, co się z panem stało?

PIOTR: Panie Henryku! Panie Henry-
ku!...

HENRYK (idzie zmięty do biurka, sia-
da złamany, widomie nerwowo wyczerpa-
ny): Tak... tak... tak... świństwo...

FILA: Potrzebna ta historia...

PIOTR: Ja mówiłem... Ja mówiłem...

HENRYK: Tak, macie rację, macie ra-
cję...

JÓZEF: Co robić, panie szefie? Nie jest
tak źle: wszystko dobre, co się dobrze koń-
czy... Pst! Klient!

(Wchodzi cywil — typowy tajniak: ka-
pelusz, jesionka, prawa ręka w kieszeni.
Drugi stoi za oknem i płaszczy twarz o
szybę).

PIOTR — JÓZEF — HENRYK — FILA

— ZOSIA — CYWIL

PIOTR: Proszę?

JÓZEF: Proszę pana?

FILA: Proszę?

(Cywil spokojnie, fachowo ogląda po-
kój, obmacuje wzrokiem każdego oddziel-
nie, poczynając od Józefa. Moment oczeki-
wania. Zatrzymał oczy na zmiętym Hen-
ryku).

CYWIL: Wstań pan!

HENRYK (podnosi na niego wolno o-
czy, patrzy nieprzytomnie): Czego? Co?

CYWIL: Wstań pan!

HENRYK (robi ręką ruch do kieszeni)
Co?

CYWIL (wyciąga broń): Ręce do góry!

(Henryk wstaje wolno, podnosi ręce, zo-
staje wprawnie obszukany).

CYWIL: Podać ręce! (zakłada kajdan-
ki). Ze mną. (Popycha go łutą pistoletu
ku drzwiom — wychodzą. W sklepie prze-
rażenie. Fila rzuca się do drzwi, jakby
chciała za nim biec, ale opiera się o futrynę
drzwi — coś jakby złamana).

PIOTR (placziwie): Znowu ofiara!

JÓZEF: I może być ich więcej, bo jak go
przycisną?... Ale trudno. Tam gdzie walka,
tam muszą być ofiary... Paczka!

FILA (ożywia się): Racja — paczka.
Paczka nie może wpaść. Tylko nie to. Ona
na mojej głowie!... (idą z Józefem ku
drzwiom Zosi).

PIOTR: Paczkę ratują, a człowieka zgu-
bili. Och, młodzi, młodzi, młodzi!

KONIEC

Jan Broda

O Janie Szwiertni muzyku śląskim

Zamieszczając wspomnienie J. Brody o Janie Szwiertni prosimy naszych czytelników i korespondentów o nadsyłanie podobnych prac - wspomnień, opisów, dotyczących strat kulturalnych polskiej wsi z czasu krwawej okupacji.

Jan Szwiertnia pochodził z rodziny chłopskiej. Ojca własnego nie znał, matka odumiała go również wcześniej, pozostawiając dziecko na łasce ludzi i ustronńskiego Domu Sierot.

Z czasu wspólnych lat w bobreckim seminarium (dokąd skierował go Dom Sierot) pozostało wiele wspomnień o tym „z bożej łaski” kompozytorze i muzyku śląskim. W miesięczniku szkolnym „Ku rozrywce i nauce” prowadził wiślański Janek dział muzyczny, kreśląc w nim sylwetki muzyków i próbując sił w pisaniu własnych etiud. Dorobił też melodie do klasowej pieśni: „Bobrek przy Cieszynie, chociaż gmina mała, jednak się we Wilnie reprezentowała”.

W pogodne, wiosenne popołudnia urządzaliśmy wycieczki po przycieszyńskich wsiach. Janek był każdorazowo wytrwałym towarzyszem i wracał zawsze z nową nieznaną ludową pieśnią, co go ogromnie radowało. Melodie notował w pamięci a zapisanego tekstu uczył nas wszystkich w powrotnej drodze. Miał przy tym bardzo głęboki, czysty bas, co z resztą naszych głosów tworzyło bardzo nastrojowy kwartet. Chciał grać, tylko grać, pragnął wyśpiewać wszystko, co czuje dusza jego. A ciężko było biednemu sierocie opłacić naukę muzyki. Ale znajdowało się zrozumienie u prof. Hlawicki. Ten udzielał mu bezpłatnie lekcji gry na fortepianie. Życzliwości tej nie zapomniał mu Janek nigdy.

W roku 1930 zdaje maturę i uzyskuje posadę w Wiśle, w najlepiej w Polsce prowadzonej szkole na Równym.

Szkola na Równym była dla jego samotniczo-juhasowskiej natury wymarzoną miejscem, była to koinia dla ciała i duszy. Człł się tam jak orzeł. Ani samotność nie była samotnością, ani cisza ciszą. Zgłębia w długie jesienne wieczory, nierzadko i noce, tajniki harmonii i kontrapunktu.

Po roku pisze następujące słowa: „Ja muszę pisać. Tak. Skłania mnie do tego siła z wnętrza a jest to po prostu — jakby to rzec — czynność fizjologiczna. Ale bez przygotowania nie ruszysz bratku. Zakupiłem więc sobie ostatnio jednego z kontynuatorów R. Wagnera — Brücknera. Dwie jego symfonie. Zagłębiał się w partyturę z przyjemnością, tak jak ty w swoich filozofów czy Nietzschego. Ponadto obecnie przebrał 10 kart dzienną partyturę poematu symfonicznego R. Straussa, pt. „Tod und Verklärung”. Powiadam ci, rzecz wstrząsająca w swej istocie... Walka chorego ze śmiercią, jako ilustracja muzyczna. Modulacje straszne. Całość jest jedną sztuczną siatką polifonii. Dźwięki kłębią się po prostu w coraz to innych tonacjach. Trochę mi to z trudnością przychodzi, czytanie, tak chromatycznie nastrożonej partytury, ale ostatecznie, już się przyzwyczaiłem.

Jeszcze jedna reforma

(dalszy ciąg ze str. 5-j)

dy ojciec pojedzie do państwowego lasu i zentnie drzewo, to dziecko odczuwa to jako szczęście, bo ojcu się udało, i jest ciepło w chałupie, jest przy czym obiad ugotować. Jakże takiemu dziecku wytłumaczyć karygodność kradzieży. A okazji do kradzieży sąsiadzkich na wsi jest aż nadto. A więc: otoczenie wpływa zbyt demoralizująco na młode pokolenie, ażeby kilkugodzinny wpływ wychowawczy szkoły miał jakieś znaczenie. Reszty złego dopełnia wpływ młodocianych łobuzów, których kilku zawsze się w gromadzie znajduje. Wspólne pasanie bydła stwarza aż nadto możliwość do zniwelowania wpływów wychowawczych szkoły.

STWIERDZENIE PIĄTE: MNIEJSZA ILOŚĆ BODŹCÓW KULTURALNYCH

Stwierdzenie piąte. Psychologia doświadczalna poucza, nas, że dziecko w tym samym wieku z miast i ze wsi wykazują znaczne różnice w rozwoju psychicznym. Bezsporną wyższość rozwoju psychicznego dziecka miejskiego psychologia tłumaczy większą ilości bodźców psychicznych, jakie oddziaływują na dziecko miejskie. Wiś tych bodźców posiada zbyt mało, stąd też i opóźnienie rozwoju w rozwoju psychicznym dziecka wiejskiego.

Wreszcie szóste: o czym już wspominałem na początku tego artykułu — element nauczycielski na wsi jest naogół gorszy niż w mieście. Wpływa na to przede wszystkim to, że kto tylko ma możliwość dostania posady nauczycielskiej w mieście, ten rękoma i nogami broni się od objęcia posady na wsi, odstraszone cięższymi naogół warunkami mieszkalnymi (brak światła, brak rozrywek kulturalnych) sprawia, że inspektoraty selekcjonują element nauczycielski. Nic więc dziwnego, że na wsi dostaje się naogół element fachowo gorszy.

Po ukończeniu tych studiów, zabieram się do poematu symfonicznego, „Zaklęty bór”, chcąc wypróbować swych sił w orkiestrze. Będzie to wstępna praca do opery, której libretto już sam sobie napisałem, pt. „Śpiący rycerz”.

Tyle z jednego z zachowanych listów, gdzie spowiada się młody, początkujący kompozytor ze swych trudności, ze swych zamierzeń.

Trudności te maleją skoro młody nauczyciel uzyskuje posadę w Wiśle—Centrum. Tutaj, oprócz normalnej nauki w szkole, prowadzi dwa chóry młodzieżowe pełniąc równocześnie funkcję organisty.

Nadal uczy się uparcie. Żadnej chwili zmarować nie śmie. To też rzadko można go spotkać poza domem. Najchętniej przebywa u siebie, improwizując na swym pianinie albo słucha radiowych koncertów. Kiedy tworzy, nie dopuszcza nikogo do siebie, ani żony z Jankiem w pieluszkach. Skoro skończy jakąś pracę, wtedy zacierza radośnie ręce i z okrzykiem „uha!” zabiera się do jej prześpiewania i przegrania. W końcu weselą się wszyscy.

W towarzyskim obejściu był Szwiertnia bardzo serdeczny i miły, nierzadko żartobliwy. Nie zrażał się nigdy tym, że ktoś niedocenia jego pracy, ale z tym większym zadowoleniem objaśniał każdą drobnostkę i przekonywał.

Tak żywo mam jeszcze w pamięci (jakby to jeszcze wczoraj było), dzień własnego ślubu. Klekłem przy ołtarzu kiedy odezwali się organy. Od razu przeszedł wszystkich jakiś dziwny prąd. Któż to gra? każdy pytał. Odpowiedzi nie było. Za to deszcz słonecznych dźwięków, co duszę pieściły i kapały. Oby taka kąpiel jak najdłużej trwała — Przyszedł już pastor, aby obrzęd ślubny spełnić i jego pierwsze pytanie było: „Któż tak cudnie gra?” I znowu zaskładał się w improwizowany wylew duszy młodego kompozytora, zakończony wesełnym marszem: „Miłość w sercach waszych płonie”.

To było ostatnie moje z nim spotkanie. Miał niebawem wyjeżdżać na studia zagraniczne. Zamierzenia przecięła wojna.

Wiśla stała się bardzo niebezpiecznym terenem. Niemcy zaczęli swoje krwawe panowanie. Łapani, aresztowani na porządku dziennym. Wreszcie pewnego dnia majowego aresztowano Szwiertnię. Osadzony w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, a potem w Guzen, umiera śmiercią męczeńską 29.8.1940 roku po czteromiesięcznej katorżce.

W ciągu krótkiego życia swego (umarł w 29 roku życia) a krótszej jeszcze działalności twórczo-muzycznej, napisał około 40 utworów, w czym są poematy symfoniczne (najulubieńsza jego forma pracy), operetka regionalna, tria i kwartety na skrzypce i fortepian, pieśni solowe, choralne, kościelne, kantaty itp.

Najważniejszy to poemat symfoniczny „Śpiący rycerz”, (zaczęty już w r. 1931), jako muzyczna ilustracja baśni o zaklętym

wojsku czantoryjskim, zakończona nastrojowym rapsodem.

Ludowa operetka góralska „Safasznicy”, oparta jest na góralskim folklorze z waltorami i fagotami, naśladowanymi góralskie trombity. Sporo w niej serdecznych i jędrnych aryj, udatna ilustracja góralskiego wesela i liryczny hymn góralski: „Gróńcie, gróńcie, gróńcie, góral wasze dziecko śpi na waszym łonie”.

Na muzyce współczesnej wzorowana jest „Suieta beskidzka”, z typowych góralskich pieśni złożona.

Z pieśni chóranych znane są własnego układu słownego: „Śpiew wolności”, „Z pieśnią”, „Hasło Akordu”, „Wieczorne dzwony”, „Miłość w sercach”, Libretta i teksty pieśni pisał zazwyczaj sam. Był więc i poetą, poetą-lirykiem.

Zygmunt Kalużyński

„Listy z Teatru” o tearze ludowym

W Krakowie rozpoczęło żywot nowe pismo, poświęcone sprawom teatru: powstałe w miejsce dotychczas wydawanego „Afisza Starego Teatru”, redagowanego przez znanego teatrologa Wojciecha Natansona. Nowy organ pozostaje pod tym samym kierownictwem i tylko rozszerzył platformę wydawniczą, o ile bowiem dotychczas pismo było rzecznikiem jednej tylko ze scen krakowskich („Stary Teatr”), to teraz jest sygnowane przez „Komisję Porozumiewawczą Teatrów Krakowskich”. Obok warszawskiego „Teatru”, finansowanego przez Min. Kultury, są „Listy z teatru” drugim stałym periodykiem, poświęconym sztuce o niezwyklej doniosłości społecznej; nie jest to wiele, gdy porównamy ze stanem przedwojennym, kiedy to pism teatralnych można było naliczyć dziesiątek, z tak poważnymi pozycjami, jak np. teatrologiczne, a najwyższym poziomem naukowym postawiona „Scena Polska”, czy cierniakowski „Teatr Ludowy”, „Teatr w Szkole”, i w. in. „Listy z teatru” mogą spełnić rolę nader istotną, i jeśli sądzić po pierwszym numerze, spełniają ją; obok „Teatru”, który ma ambicję pisma teoretycznego, poruszającego zasadnicze problemy współczesnej sceny „Listy z teatru” przyniosą zestawienie rzeczowych danych o pracy i położeniu teatrów zagranicznych i krajowych (w szczególności krakowskich).

Jak i charakterystyczne wypowiedzi ludzi teatru czy praktyków np. dykt. dyskusja o mówieniu wiersza, na temat codziennego, stalego wysiłku naszej i obcej sztuki sceniczej.

W pierwszym numerze znajdujemy nieduży, ale wyróżniający się artykuł „O teatrze ludowym”. Wyróżnia się on spośród innych (a temat teatru ludowego w ostatnich tygodniach był żywo i jałowo dyskutowany, np. nader niefortunny art. Z. Kwiecińskiego w „Teatrze”) tym, że na niewielkiej przestrzeni, bez nadmiaru hasel i ogólników rzekomo w szlachetnym stylu („masowanie”, etc.) informuje ściśle i racjonalnie o pracy Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej, ostatnio rozwijającego się coraz zwiniej. Na końcu, tam gdzie zazwyczaj bywają patetyczne obietnice, że dziś teatr ludowy stworzy... pchnie... itd. itd., jest tutaj rzeczowy apel do literatów wskazujący na główną przyczynę niedomagania sceny ludowej i wytyczający kilka praktycznych zadań, których rozwiązanie może nastąpić tylko przy udziale pisarzy.

Bo w dziedzinie organizacyjnej rzucano już fundamenty, na których brak uskarżaliśmy się niejednokrotnie we „Wiś”, wskazując na smutny kontrast między wspaniałym rozkwitem związków regionalnych teatrów ludowych przed wojną, a dzisiejszym nastrojem, wciąż trwającym, mimo że teatr jest jedną z typowych form pracy kulturalnej na wsi. Autorka (Maria Rokoszowa) relacjonuje najpierw krótko prace scen ludowych przed wojną i objaśnia ich organizację. Regionalnych związków było wtedy 10, miały one za zadanie udzielanie wskazówek instrukcyjnym zespołom, organizowanie kursów i konferencji, kształcenie kierowników teatralnych. Instytucją nadrzędną był warszawski „Instytut Teatrów Ludowych”, wydający pismo „Teatr Ludowy”, opracowujący wzorowe teksty, podręczniki, materiały muzyczne. Praca Instytutu związana była ściśle z działalnością Jędrzeja Cierniaka, rozstrzelanego przez Niemców.

Powojenny związek teatrów ludowych odbudowany został na innej zasadzie. Inicjatorem przywrócenia tej organizacji były tym razem władze szkolne; przez długie bowiem miesiące na terenie teatrów szczególnie w dziedzinie organizacyjnej, panował niepokój zastój i tylko słysząc było o indywidualnych wysiłkach samodzielnich grup które spotkały się z żywą krytyką i wywołały gorącą dyskusję („Żyvia”, teatr Z. Sołarzewskiej w Brusie).

Było to dowodem na braku jednolitej koncepcji artystycznej i pedagogicznej w pracy

Niezależnie od utworów muzycznych napisał i szereg artykułów o muzyce. Zaczętku ich szukać jeszcze na ławie szkolnej. W późniejszym okresie znajdujemy jego wypowiedzi o wartości pieśni i muzyce współczesnej. — Miewał też często referaty na zebraniach „Akordu”.

Zebrał nadto i mnóstwo ludowych pieśni w środowiskach swej pracy, których sporo użył jako podstawę tworzywa muzycznego, wiele z nich weszło w zbiory „Pieśni śląskich”. (II—III tom).

Odszedł od nas zbyt młodo, zamordowany przez hitlerowskich okupantów, ten muzyk „z bożej łaski” i malarz równocześnie, o którym powiedział jego profesor: „Ten nie zmieści się w Europie”.

teatrów i najwyższy czas, by stworzyć naderzną organizację: jakoż powstała ona, zaledwie kilka miesięcy temu.

Zarząd Gł. Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej mieści się w Warszawie, a oto charakterystyczny wyjątek ze statutu, formułującego o wiele szerzej, niż przed wojną zadania organizacji: „Tworzenie warunków do korzystania przez najszerze warstwy społeczne z dorobku kulturalnego narodu i czynnego ich udziału w tworzeniu nowych wartości kulturalnych”.

Nowy Związek, mimo krótkiego istnienia, ma już za sobą niemało osiągnięć, szczególnie w dwóch kierunkach: dostarczenie materiałów tekstowych i pomoc instrukcyjną dla zespołów. Odbito i rozestano w teren inscenizacje w Związku z Rokiem Kościuszkowskim a na Święto Oświaty wydano broszurkę Ilowskiego „Taka jest książka”, — jest to utwór propagujący książkę w formie zainicjowanego sadu nad sieniawickim „Latarnikiem”.

Zorganizowane zostały kursy teatralnośpiewacze na terenie całej Polski; eliminując się na nich zdolniejsze jednostki na 6-tygodniowe kursy wakacyjne. Wreszcie w pierwszych dniach czerwca zorganizował wamijsko-mazurskie święto powrotu Ziemi Odzyskanych, połączone ze zwiedzeniem okręgu mazurskiego.

Ale największą trudność, na jaką natyka się Związek w swej działalności — to brak tekstów dramatycznych. Autorka ostro krytykuje dotychczasowy dorobek repertuarowy, określając go jako „analfabetyzm kulturalny”. „Czy naprawdę nikt z literatów nie zechce ztemu zaradzić? — pisze dalej — gdybyście widzieli te rzesze patnicze pragnące coś zagrać, „z czego by korzystać była” (mówię słowami jednego z takich pamiętników teatralnych). Może konkurs na sztukę rozpisany przez tyg. „Wiś” z pomocą Z. S. Chł. wyznaczający zachęcające nagrody, przyniesie nieco materiału tak potrzebnego.

Ostatnie tygodnie budzą w nas wiarę w żywotność sceny ludowej; mamy do zanotowania coraz więcej faktów, np. z niemałym nakładem wysiłku zmontowane przedstawienie chłopskiej opery A. Łazarka „Chłopska krew” w Jeleniej Górze; o przedstawieniu tym napiszemy szerzej.

Prócz artykułu o teatrze ludowym, znajdujemy w „Listach z teatru” wiele innego materiału, który powinien zainteresować naszych działaczy. Jest więc przekład starofrancuskiej „Gry o Adamie”, jednego ze średniowiecznych zabytków teatru europejskiego, o cechach niewątpliwie twórczości ludowej, poza tym ciekawe wiadomości o teatrach zagranicznych, w których obserwujemy, przeciwnie niż u nas ucieczkę od realizmu i zwrot do repertuaru modernistycznego, dalej są wypowiedzi w ankiecie „Jak mówić wiersze”, poety Flukowskiego i teoretyka dykt. Wł. Dobrowolskiego. Numer zawiera jeszcze charakterystyczne wypowiedzi dramaturgów, działaczy (Szaniawski, Morstin, Adwentowicz). „Listy z Teatru” niewątpliwie powinny znaleźć się w ręku pracowników sceny ludowej, jako pismo informujące o codziennym życiu teatru naszego i obcego.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kalużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Pięta Stanisław.
Komitet terenowy: Frasiak Józef Andrzej, Nędra-Kubiniak Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wiś”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2. D—09321

WNIOSKI

Szkola wiejska ze względu na swe mankamenty organizacyjne nie spełnia należycie swego obowiązku wychowywania i nauczania młodego pokolenia chłopskiego, wobec czego musi być zreorganizowana. I to zreorganizowana w ten sposób, by wszystkie przytoczone tutaj przeze mnie wady zostały całkowicie usunięte. Szkoła taka musi przede wszystkim izolować dziecko od szkodliwych wpływów otoczenia. Jest to warunek bez którego nie ma mowy o jakiegokolwiek na lepsze. Szkoła więc taka musi być połączona z internatem, gdzie nauczyciel wychowawca będzie miał możliwość bezpośredniego z dzieckiem kontaktu i wpływ jego będzie przez to odnosił skutków na prawdę. Internat taki wyeliminuje nie tylko zły wpływ otoczenia, ale i trudności w uczeniu dzieci do szkoły.

Stała opieka lekarska zabezpieczy dzieci przed chorobami i uratuje niejedno tak cenne dla Państwa życie. W takiej dopiero szkole będzie istniała realna możliwość wypełnienia programu szkoły. Ze względu na wybitną zdolność ogółu dzieci wiejskich możemy z pewnością skrócić nawet czas trwania nauki, co również przedstawia konkretną korzyść i dla samych dzieci i dla społeczeństwa.

By zaś usunąć zło wynikłe z niechętnego ustosunkowania się ogółu nauczycieli do nauczania i aby dzieciom wiejskim umożliwić kontakt ze zdobyczami cywilizacji miejskiej, szkoły takie powinny być przede wszystkim budowane w pobliżu miast. Taka dopiero szkoła - internat odpowiadająca wszystkim postawionym przeze mnie warunkom może naprawdę skutecznie spełnić swe cele zarówno wychowawcze jak i dydaktyczne.

Jan Marszałek